

KRAJOBRAZY SŁOWA



POEZJA I PROZA
LAUREATÓW
KONKURSU LITERACKIEGO

KRAJOBRAZY SŁOWA

XXI Konkurs Literacki, Kędzierzyn-Koźle 2014

KRAJOBRAZY SŁOWA

Poezja i proza laureatów
konkursu literackiego

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
URZĄD MIASTA W KĘDZIERZYNIE-KOŹLU
Kędzierzyn-Koźle 2014

Serdecznie dziękujemy naszym darczyńcom za wierność,
życzliwość i finansowe wsparcie konkursu:

- **„ELBOR” Wielobranżowy Zakład Elektryczno-Budowlany
w Kędzierzynie-Koźlu**
- **Miejskie Wodociągi i Kanalizacja w Kędzierzynie-Koźlu Sp. z o.o.**
 - **Petrochemia-Błachownia S.A. Spółka Grupy
Wanhua-BorsodChem.**

Projekt okładki
Leszek Ołdak

Opracowanie redakcyjne
Agnieszka Jakutajć-Zalewska

Korekta
Agnieszka Jakutajć-Zalewska

ISBN 978-83-928693-3-7
978-83-7511-195-8



OD PARYTETU DO METAFIZYKI

W tym roku w kędzierzyńskim konkursie udało się zachować zasadę parytetu. Ale tylko w poezji. W prozie sami panowie. Prawdę mówiąc, nikt się nie zastanawiał nad płcią ujawnianą (bądź nie) w utworach, tak jakoś wyszło. W poezji sprawiedliwie i niemal idealnie – nagrodzono trzech poetów i trzy poetki.

Nagrodę Prezydenta Miasta otrzymała ciekawie rozwijająca się poetka z Kietrza, Monika Brągiel, która w 2012 roku zadebiutowała tomikiem „Kim się nie jest”, docenionym potem w IX Ogólnopolskim Konkursie Literackim Kutno 2013 na najlepszy poetycki debiut książkowy roku. To zawsze pasjonujące – witać intrygującego debiutanta i historię literatury w nim skumulowaną, gotową do wystrzału. Tu ręka nie drży, pistolet nie znosi, trafiając idealnie w wyimaginowaną tarczę kłopotów ze światem, językiem i coraz bardziej intensywnym funkcjonowaniem w życiu i jego konwencjach. Bo zawsze „jest jakiś kontakt”, mimo że chwilowo podmiot rozmienia się na tysiące ról, a po pierwszych krokach w chmurach dorosłości rozumie, że grzeźnię się w tym po szyję. W tym wszystkim, na co brakuje słów. Ale gdy zaczyna brakować, to tym bardziej są – ze wszystkich stron: od Barańczaka i Bishop, Różewicza i Siwczyka, Stevensa i Ashbery’ego.

Kolejna laureatka, Marta Jurkowska z Olkusza, też dopiero co zadebiutowała poetycką książką, zatytułowaną „Poza ramy”, a nowe wiersze, które wysłała na „Krajobrazy Słowa”, zwracają na siebie uwagę konsekwencją obrazowania, wypracowanym językiem niepokoju, dotyczącego przemijania, bycia ludzi ze sobą w określonym miejscu i czasie, wiary w nieprzemijający zbyt szybko sens. To autorka ważąca słowa i dopuszczająca je do głosu w istotnych, wręcz ostatecznych, wypadkach.

Natomiast Agnieszka Marek z Bielska-Białej przedstawiła zestaw wierszy próbujących na nowo nazwać miłość, jej zachłanność i nieumiarko-

wanie. Delikatności uczuć przeciwstawiane są raz po raz obrazy zniewolenia i zawłaszczania. Miłość jest tu nie tylko czułym oddaniem, lecz również zaborczym posiadaniem. Wyznania mieszają się z zeznaniami tak, jakby to, co harmonijne, szczęśliwe i naturalne, musiało mierzyć się bez przerwy z tym, co wymuszone, wydarte z głębi, wyegzekwowane. Rozpalone ciało szuka swojego języka, chwilami przekraczając bariery grzecznego i kulturalnego mówienia o miłości – w sam raz (a był to czas pracy jurorów) na nietypowe, oryginalne walentynki.

To, co uderzyło nas w poezji nagrodzonych panów, również wiązało się z uczuciami, jednak zdecydowanie mniej jawnymi, umiejętnie zasłanianymi metaforyczno-aforystycznymi ekwiwalentami. „Artykulacja przez zacisnięte gardło” z wiersza Marcina Szelaka jest tego najlepszą nazwą. U wrocławskiego autora można znaleźć o wiele więcej takich sformułowań – głębokość i celność myśli wyraża się tu za pomocą niewielu słów. Filozoficzna, ironiczna lapidarność bardziej niż relacjami męsko-damskimi zajmuje się historią, kulturą, cywilizacją.

W obrębie podobnych tematów porusza się Piotr Przybyła z Karpacza. Jednak nie stara się ich uniwersalizować, nie dąży do prostoty wyjaśnienia, a raczej sprowadza je w głąb onirycznych, ciemnych obrazów. Nadaje im rytm intymnej modlitwy, wyliczanego zaśpiewu kierowanego do nieznanego bóstwa.

Na tym tle Rafał Baron z Gdańska wydaje się poetą intelektu. Świadomy nacisków ze strony niewyraźnego, wybiera w miarę pewne i jasne orzekanie o sobie i okolicznościach. Buduje opowieść z powracających kompulsywnie myśli, dorzucając kolejne linijki do wspólnoty przeżywania i pojmowania, choćby ta była równie iluzoryczna, co „księga umarłych”.

Proza w tym roku nie ustępowała wartością poezji. Nadeszło sporo interesujących opowiadań bądź fragmentów większych, powieściowych całości.

Jurorów zgodnie urzekła proza podpisana godłem „Jazz Baba Riba”. Autor, Marek Chorabik z Gdyni, stworzył wiarygodny portret człowieka żywego, ciepłego i wrażliwego. To on przykuwa uwagę czytelnika. I to, co robi, jak traktuje siebie i swoje wspomnienia. Niezwykły fryzjer. Niezwykła proza.

Z kolei Krzysztof Bąk z Mysłowic rozwija nieco inny model epiki. W najciekawszym opowiadaniu pogłębiona introspekcja dotyczy nie-

banalnej postaci kobiecej. Znow jedno ludzkie życie staje się punktem wyjścia do niemal antropologicznej analizy losu. To proza gęsta i duszna, jakby nabrzmiata od ilości spostrzeżeń i doznań, nie wiadomo kiedy i jak przerzucająca codzienny banal do metafizycznych wymiarów.

Coś analogicznego zachodzi w prozie Leszka Carnutha z Grudziądza. Znajdujemy podobną siłę narracji porządkującej życie własne i wyobrażone życia cudze. „Kobiety z czasów dzieciństwa” stają się – a raczej próba ich zrozumienia – kluczem otwierającym drzwi do królestwa dojrzałości. Przejrzyste, tęskne obrazki Carnutha na długo pozostają w pamięci.

Nie sposób zapomnieć również opowiadania „Galeria”. Jacek Maria Hobensee splótł ze sobą kilka istotnych wątków gubiącej swą tożsamość kultury współczesnej. Osobista, bogata przestrzeń doznań artysty-erudyty walczy o swoje (przede wszystkim o prawo do istnienia) z agresywną popkulturą. Warszawskiemu pisarzowi udało się wykreować labirynt, w którym czystość miesza się z brudem, muzyka sfer z bełkotliwym szumem, tożsamość wspomnień z narzucającą się z zewnątrz trywialną narracją.

W Kędzierzynie-Koźlu zawsze jest ciekawie. Jednak muszę wyznaczyć, że w tym roku było wyjątkowo. Mnogość światów, języków, stylów. Przyjemnie było jurorować, a jeszcze przyjemniej po prostu czytać.

Karol Maliszewski

MONIKA BRĄGIEL
godło: „Wielka pomyłka”

Nagroda Prezydenta Miasta
w dziedzinie poezji



MONIKA BRĄGIEL – urodzona w 1991 r.; pochodzi z Pilszcza na Opolszczyźnie. Autorka debiutanckiego tomu poetyckiego „Kim się nie jest” (Łódź 2012). Studiuje Krytykę Literacką na Wydziale Polonistyki UJ w Krakowie. Laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Swoje utwory publikowała na łamach różnych pism literackich (m.in. „Arterie”, „RED”, „Inter-. Literatura, Krytyka, Kultura”).

PRZEGRYWANKI

Z pokory: że nie dam sobie rady z upchniętym do wnętrza złem?

Jacek Bierezin

Gdzie się podziały wulkany? Gdzie wszystkie moje wyspy?
Schowały się, przepadły? Miałam jedenaście lat, kiedy
przywłaszczyłam sobie pierwszą. Ostrożnie chodziłam
po rudych trawach, pływałam w szalejących wichurach.
Zbijałam tratwy ze spróchniałych pni śliw. Traciłam

zasięg w okopach, zyskiwałam przewagę i czas, szyjąc
kominy armatom. Bo od początku wyspa to była wojna,
ale nie naprawdę. Naiwnie, wytrwale kładłam podwaliny
pod użytek kolejnych, z roku na rok lepszych, piękniejszych
kłamstw. Wyślizgiwałam strome zbocza skał, machając niebu.

Kolejne wyspy, jakby nieprawdziwe, zdarzały się regularnie
w każde ruchome lato. Kładłam na nich rękę wyjętą z czarnej
farby, rozrywałam, żeby nauczyć się latać pod sam sufit.
Usypywałam z nich kopce dla bohaterów powstań, przywódców
oddziałów i dzieci, ponieważ od zawsze walczyłam o radość

podczas beztroskich starć, o wybuchy entuzjazmu w tłumie. Tak
jak przypuszczałam, decydujące rozstrzygnięcie miało co dzień
sto tysięcy odśłon. Nie pamiętam szczegółów, ale impas mógł
nastać po wiadomości o nic nie wartym smutku, co przyszedł
ze strony ładu. Nikomu jeszcze nigdy o nim nie opowiadałam.

CZYSTKI (Z ZABAW I GIER)

Podwórko na kamieniach, zaczyna się wyścig:
ślimaki na bramie walczą najwytrwalej, lecz
natura nie pozwala się przechytrzyć, przez co
długo czekamy na każdy milimetr z trudem
poczyniony jako wstęp do aktu, który jest
przemocą przebraną za szlachetną rozrywkę
wątłych, niewinnych, całych w błocie i liściach nas,
o których już wystarczy; niech wygra najszybszy.

Drażniące nic, o które idzie w potyczkach, nic
jak kij w mrowisko wsadzone na przekór matkom,
pod dyktando instynktów czyhających na nas,
jeszcze prostych w odczytach, naiwnych w zamyśle,
opowiadających o wszystkim z wyższego dna
tego garnka, służącego za podium albo
niczemu nie służącemu, wbrew zapewnieniom,
że jednak, więc zostaje z nami; wygrywamy.

NICZYJE

Niczyje są wiersze, woda i powietrze. Mam pewne przypuszczenia co do skuteczności wszystkich razem wziętych w nawias. Niezadomowione, zawsze w połowie urywane zdanie zmieniające mięsiste serce w szkliste ciało rozplywa się w oku. Można się nim udławić. Rano chciałam

znów spróbować starej sztuczki: zbroję z ręczników zamieniłam w barykadę. I panowałam nad dziką zwierzyną. I panowałam nad rzędami dusz przechodzącymi przez rzekę dzielącą ogród na czworo. A z każdej strony ogrodu schodziły do wody ślimaki. Dziś rano przymierzałam bordowe zasłony, ale czas się skończył.

I tylko białe kubki na kuchennym stole, Matka Boska Ścienna, okruchy na parapecie bliskie realności budziły sprzeciw oczu otwartych nagle, bez koniecznej próby. Dzień przyjął chłodem stopy szukające drogi do bramy, przy której się rozstaliśmy, by były z tego wiersze. Niczyje jak ślimaki, woda i powietrze.

NARRACJA O UPADKU

Nie tak już bywało: kąpaliśmy się w pyle
na tyłach starego młyna. Na tyłach ciężarówek
liczyliśmy skapujące spod sufitu krople smoły.

Ktoś rysował Akwizgran i króla Karola
w koronie koloru perłowych koralu. W pyle
korale pokrywały się z odbłaskiem słońca.

Król był nagi. Za drewnianymi drzwiami,
za stu przetykanymi blaskiem norkami korników
kończył się remont zamku. Król musiał już iść.

Czasem wychodzę na mróz z mokrymi włosami
przyklejonymi do twarzy. Druga twarz w pyle
perłowego zimna. Czasem choroby, gorsze rzeczy.

RATOWANIE RAJU

W tym kraju są miejsca godne odwiedzenia, zaułki
zaopatrzone w baśnie i mity, zaginione lub zniszczone

zachody dzieciństwa, stracone pokolenia, gorzkie statystyki.
Jest miejsce w tym kraju dla kopiących doły, dla wpadających

do Dunaju, Wisły, Nilu i Eufratu strug, meandrujących rzek
porywających resztki kolonialnych potęg, okruchy imperiów.

W tym kraju dzieci zawsze są dziećmi, na wielkich równinach
poluje się na bizony, w pogrzebanych miastach murszeją palestry.

Miłość rozgrywa się tu w nieskończenie wielu miejscach, wspólnych
tematów szuka się nocami w zatłoczonych pociągach, mówi się:

jaki słodki strach zbliża nas do siebie. Kto ma dość siły, pierwszy
rzuca kamień, na którym zbudują domy inni wykolejeńcy. Na skraju

eonu szczątkowo magnetyzuje skała, na którą się wspinamy.

Siadamy,
patrzac w dół szepczemy zaklęcia: *na miłość i na strach.* Tyle
miejsca.

MAREK CHORABIK
godło: „Jazz Baba Riba”

I nagroda w dziedzinie prozy



MAREK CHORABIK – urodzony w 1962 r. w Krakowie. Wiersze publikował m.in. w „Akcencie”, „Czasie Kultury”, „Frazie”, „Kresach”, „Opcjach”, „Res Publice”, „Toposie”, „Tytule”, „Więzi” oraz portalach „OFF_PRESS.org”, „neurokultura.pl” oraz „Dwutygodnik.pl”. Wydał tomiki „Blisko prawdy” i „A jeśli wiemy?”. Jego teksty ukazały się także w „Antologii nowej poezji polskiej 1990–2000” oraz „Pięć wieków poezji o Lublinie”. Jest laureatem wielu konkursów literackich m.in. Nagrody Literackiej Miasta Gdańska 1994, konkursu „Dać Świadectwo” Kraków 1995 i 2009, Ogólnopolskiego Konkursu Małych Form Literackich im. Żeromskiego Nałęczów 2006 oraz wyróżnienie w dziedzinie prozy w XX „Krajobrazach Słowa”.

SZUFLADA

Jerzy pchnął ciężkie, metalowe drzwi. Ustąpiły z chrobotliwym skrzypnięciem. Wszedł na klatkę schodową. Ciemną i zimną. Przystanął przy skrzynce na listy. Długo przekręcał kluczyk. Opornie przesakiwał bez jakiegokolwiek rezultatu. W końcu kłapka z numerem jego mieszkania opadła. Przegródka na listy była pusta.

Nie był specjalnie zdziwiony. Zaglądał do skrzynki z przyzwyczajenia. Dawniej dostawał dużo listów. Ale teraz, kto miałby do niego pisać. Wyciągał tylko reklamy. Gazetki z supermarketów, promocje jedzenia z dowozem, propozycje nadzwyczaj korzystnych pożyczek. Z niczego jednak nie korzystał. Do supermarketów i tak chodził bez specjalnych zaproszeń.

Z przedsionka wspiął się kilka stopni w górę. Po omacku wyszukał wahadłowe drzwi i ostrożnie uchylił jedno skrzydło. Uważał bardzo, żeby dłoń nie została w tyle. Kiedyś przez nieuwagę w ten sposób zmiażdżył sobie palec. Chodził z takim czarnym sztywnym kikutem kilka tygodni. Sam nie wiedział jak to się wtedy stało.

Doszedł do stopni prowadzących w górę do mieszkania. Trzymał się prawej strony schodów, wspierając na solidnej dębowej balustradzie. W młodości nieraz zjeżdżał po podobnej na szkolnych przerwach. Do czasu, aż dyrektor szkoły kazał wkręcić w poręcz wystające kilka centymetrów ponad powierzchnię grube, czarne śruby. Zjazd po takich śrubach groził kontuzją najbardziej intymnego miejsca i awanturą w domu o porwane spodnie.

Poręcz w klatce schodowej była jednak gładka. Wolno przesuwając po niej szorstką dłoń. Nawet gdyby napotkał drzazgę, to twarda skóra dłoni by jej nie poczuła. Ręce miał twarde, bardziej ze starości, niż od fizycznej pracy. Pomyślał przez chwilę o tych wszystkich dłoniach, które sunęły po tej poręczy. O dłoniach, które chwyciły ją jak ostatnią deskę ratunku, gdy łapała zadyszka przy podchodzeniu w górę.

Ściana po lewej była jak kawa ze ściętą śmietanką. Jednolity beż z rozproszonymi bezładnie liszajami odpadającej farby, spod której wychodził biały tynk. Przystanął na półpiętrze, aby złapać oddech. Przysunął się do dużego okna. Było tak duże, że sięgało od parteru aż do czwartego piętra. Latem było dobrodziejstwem, ale zimą przekleństwem. Czuł mocny chłód bijący od okna. Klatka schodowa nie była ogrzewana. Pojedyncza szyba i skruszały kit sprawiały, że gdy przychodził mróz, ściany wzdłuż okna pokrywały się szronem.

Jednak w tym momencie świeże powietrze wciskające się przez nieszczelne okno przyniosło mu ulgę. Było jak podanie tlenu choremu. Czuł, że gdyby jeszcze spróbował pokonać bez zatrzymania kilka schodów, zacząłby się dusić. Rozrusznik serca pozwalał mu żyć, ale nie tak jak dawniej. Nie tak jakby chciał. Dobrze pamiętał, że jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat temu gonił autobus dojeżdżający do przystanku. Dobiegał do niego zanim ludzie zdążyli wysiąść. Teraz nawet nie porywa się na przyśpieszanie kroku na przejściu dla pieszych, gdy kończy się zielone światło. Ale cóż, ważne że żyje.

Resztę schodów do mieszkania pokonał już bez odpoczynku. Był z tego powodu dumny. Bo nie zawsze mu się udawało dojść w takim rytmie: 10-10-10. Trzydzieści stromych stopni i dotarł do celu. Jak zawsze warknął pies sąsiadów. Bardziej kontrolnie, niż napastliwie dał znać, że on tu czuwa.

W mieszkaniu było chłodno. Zapalił światło. Zdjął mokre buty i postawił je na podniszczonym kawałku mikrogumy obok grzejnika w przedpokoju. Zaniósł siatkę z zakupami do kuchni. Postawił ją na taborecie. Gdy się odwrócił zakupy spadły na podłogę. Ziemniaki rozsypały się po całym pomieszczeniu, zbiły się dwa jajka. Jerzy zaklął szpetnie i zaraz przeprosił, jakby zapominając, że jest sam. A jego słowne wykroczenie nie razi niczyich uszu. Przyklękając na jednym kolanie i ciężko sapiąc, pozbierał ziemniaki wprost do wiaderka. Powycierał ślady po jajkach i schował resztę sprawunków. Z kuchennego grzejnika zdjął trzy pary skarpet i upewniwszy się, że są już suche, poszedł z nimi do pokoju.

Całą ścianę po lewej stronie pokoju zajmował segment z orzechową okleiną. Szczyt marzeń późnych lat osiemdziesiątych. Pamiętający jeszcze PRL i świadek jego upadku. Jerzy zatrzymał się na samym środku segmentu i przysuwając krzesło, usiadł ze skarpetami na wprost ośmiu

szuflad. Wysunął pierwszą z lewego rzędu. Niemal po brzegi wypełniona była czarnymi skarpetami. Odkąd pamięta nie nosił innych. Różniły się jedynie grubością i ewentualnie mniej lub bardziej wzorzystym splotem włókien. Ale wszystkie były czarne. Tak po prostu łatwiej było je segregować. Wiadomo, że czarne były jego, brązowe należały do Łukasza, a popielate i grafitowe nosił Marcin. Tak wymyśliła matka i nikt się temu nie sprzeciwiał.

Jerzy starannie złożył przyniesione skarpety, idealnie dopasowując pięty do pięt i palce do palców. Nie miały prawa odstawać od siebie ani na milimetr. Następnie zgął je w pół i dokładnie spłaszczając wsunął do szuflady w wolne miejsce po lewej. Skarpet używał w swoistym porządku. Brał je zawsze z prawej części szuflady i cały ich rząd przesunął w zwolnione miejsce. W ten sposób zawsze świeżo wysuszone skarpety łądowały po lewej. Gdy zmieniała się pora roku, przekładał na zimę grube skarpety na przód szuflady, a cienkie trafiały do tyłu. Wiosną urządził w szufladzie odwrotną przeprowadzkę.

Włączył radio. Trafił akurat na wiadomości. Minister zdrowia przekonywał pacjentów, że szpitalom na pewno nie braknie pieniędzy. Tylko muszą umieć o nie walczyć. Jerzy zachnął się z politowaniem i aby się nie denerwować, nie słuchał uważnie dalej. Cierpliwie czekał na prognozę pogody. Miał już dość tej zimy. Krótkie, ponure i mroźne dni dobijały go skutecznie. Pomimo że był już początek marca, to jednak nic nie zapowiadało ocieplenia. I tym razem synoptycy też nie pozostawili złudzeń. Ba, nawet ostrzegali, że tak może być do końca miesiąca.

Załóżył bordową piżamę i usiadł na skraju łóżka. Przez chwilę myślał o tym co czeka go jutro. Właściwie kolejne dni nie różniły się bardzo. Ich jednostajny rytm potęgował samotność. Pobudka, śniadanie, drobne zakupy, domowa krzątania, po obiedzie czytanie na ile tylko pozwalały oczy. I tak dzień po dniu. Właściwie gdyby nie wspomnienia, to zwariowałby z nudów.

Pomimo że w pokoju były włączone grzejniki, Jerzy czuł chłód. Włożył na głowę popielatą wełnianą czapkę. Nasunął ją głęboko na oczy i opatulwszy się w kołdrę położył się na tapczanie. Przymknął powieki i przypominając sobie Martę zapadł w łagodny sen.

Obudził się rześki. Za oknem mdłe słońce odbijało się w szybach budynku po drugiej stronie ulicy. Pogwizdując kręcił się po mieszkaniu. Z kubkiem kawy rozsiadł się przy stole. Marta. Dobrze pamiętał tę eteryczną brunetkę. Regularnie, co miesiąc przychodziła do jego zakładu by podciąć włosy. A miała je bujne, gęste, układające się z dużą łatwością. Czekać na swoją kolej siedziała na samym skrawku krzesła, gładząc obcisłą szarą spódniczkę. Jakby tym ruchem chciała zastąpić prasowanie. Obserwował ją kątem oka i dostrzegał w niej jakieś napięcie. Wyciągnięta jak struna, trzymała głowę prosto, patrząc lekko nieobecnie gdzieś przed siebie. Zawsze miała nienaganny makijaż podkreślający jej kształtne, wydatne usta.

Wyprostowana sylwetka była niezwykle kobieca. Szczupła, niewysoka Marta miała dość duży biust. Jerzy nie raz łapał się na tym, że gdy zakładał jej na ramiona białą pelerynę, to mimowolnie ukradkiem zerkał w dekolt Marty. Piersi tuliły się w dobrze dobranym staniku i ten ułamek sekundy, gdy przekładał pelerynę nad głowę klientki wystarczał Jerzemu, by zachwycić się urokliwą dolinką. Czasem Marta podnosiła w tym momencie powieki i spłoszony Jerzy szybko uciekał wzrokiem gdzieś na czubek jej głowy.

Marta fascynowała go także zapachem. Niezmiennie pachniała piwoniami. Jerzy zastanawiał się wówczas, ile trzeba by wylać flakonów perfum, by napęłnić wannę, w której ona się kąpie. Wyobrażając sobie taką kąpiel, podcinał jej włosy niemal w milczeniu, od czasu do czasu powtarzając z przejęciem, nieco nerwowo – „Tak będzie dobrze”. Jednocześnie zerkał w lustro, szukając aprobaty w jej spojrzeniu. Gdy w końcu Marta przekręcając głowę na boki, uśmiechała się, ujawniając dołeczki przy ustach, wiedział, że dzieło jest gotowe. Odskakiwał sprężysto do tyłu i delikatnie manewrując dłońmi rozpinął pelerynę. Marta wstawiała z fotela, powtarzała swoje prasujące ruchy dłońmi wzdłuż ud, czym jeszcze bardziej peszyła Jerzego. I wychodziła z zakładu, nie mówiąc nic ponad grzecznościowe zwroty – „Dziękuję i do zobaczenia”.

Jeśli tylko nie było następnych klientek Jerzy stawał przy oknie i patrzył za Martą, licząc, że się odwróci. Ta jednak przebiegała na drugą stronę ulicy nie zatrzymując się ani na chwilę. Szła sprężystym

kołyszącym się krokiem, wybijając obcasami rytmicznie swoje imię Mar-ta, Mar-ta, Mar-ta. Gdy znikła mu z oczu, podchodził do lustra i z lekką dezaprobatą przyglądał się swojemu odbiciu, unosząc brwi w górę. W tym spojrzeniu był jeden wielki znak zapytania i jednocześnie nadziei. Przez kolejne tygodnie Jerzy żył tą nadzieją, że następna wizyta coś zmieni w ich relacjach.

Mijały jednak tygodnie i miesiące, i nic się nie zmieniało. Jerzy nadal zerkał w ponętny dekolt Marty, a ta udawała, że tego nie widzi. Zmiana przyszła w maju. Jerzy od razu poczuł, że jest inaczej. Gdy tylko Marta stanęła w progu, jego serce zabiło mocniej. Znany mu dotąd intensywny, nieco przyciężkawy zapach dojrzałych piwonii, ustąpił miejsca świeżym i słodkim fiołkom. Od razu zakręciło mu się w głowie. Musiał się przytrzymać fotela i opanować emocje, aby dokończyć układanie włosów starej Jończakowej. Nie zwracał już uwagi na jej zrzędzenia, aż ta była zdziwiona, że tym razem z pokorą znosi jej humory. Jerzemu po prostu śpieszyło się, żeby jak najszybciej otulić Martę fryzjerską peleryną. Zerkał na nią czekającą w kolejce, tym razem swobodnie opartą na krześle, z założoną nogą na nodze. Nie była spięta jak dotychczas, jej ruchy były miękkie.

Gdy siadała na fotelu, zauważył, że guziki przy dekolcie są nieco niżej rozpięte. Dzięki temu dostrzegł, że urokliwą dolinkę otaczają niezwykle kształtne wzgórza. Zastygł na ułamek sekundy. Marta chrząknęła delikatnie, przywołując go do porządku. Zanurzał dłonie w jej włosach ze szczególną delikatnością. Chyba sam się nie spodziewał, że może być w tym aż tak zmysłowy. Podcinał włosy wolniej niż zazwyczaj, starając się maksymalnie wydłużyć obecność Marty w zakładzie. Nie mógł jednak ciągnąć tego w nieskończoność. Kiwnęła głową, że wystarczy. Nachylił się nad nią i zdjął pelerynę. Wstała i jak zawsze wygładziła swoje ubranie. Jerzy sprzątał włosy wokół fotela, starając się nie patrzeć na nią.

Usłyszał – „dziękuję”, ale nie było ciągu dalszego. Podniósł wzrok. Marta stała przy drzwiach wejściowych i zamykała je od środka. Obróciła tabliczkę w drzwiach na „zamknięte” i opuściła w oknach żaluzje. Otworzył usta, żeby zapytać co robi. Marta nakazała mu jednak milczenie, kładąc palec na usta. Po chwili wsunęła go między wargi i przeciągnęła się kusząco. Z zadziwiającą lekkością pchnęła Jerzego na fotel i odchylając oparcie usiadła na nim okrakiem.

To były szalone postrzyżyny. Role się obróciły. Jerzy wciśnięty w fotel miał nad sobą swoją klientkę. Marta ogoliła go maszynką na łyso. A gdy skończyła, powiedziała – „Teraz mogę się z Tobą kochać”. Nie miał nic przeciwko temu. Od tamtego majowego popołudnia szereg przedmiotów z wyposażenia zakładu nabrało wielu, nowych znaczeń.

To był ostatni raz, gdy widział Martę. Na odchodnym powiedziała mu, że wyjeżdża z mężem do Libii budować cementownię. Wysłała mu stamtąd dość regularnie pocztówki z oazami, minaretami i wielbłądami. A na odwrocie zawsze pisała z dorysowanym filuternym uśmiechem – „Pamiętaj, żebyś dobrze strzygł”. Widokówki przychodziły kilka lat.

Gdy przestały, schował je wszystkie do drugiej szuflady pod tą ze skarpetami. Sięgał po pocztówki ilekroć pomyślał o Marcie. Teraz też rozłożył je na stole. Choć już nieco wyblakłe, to jednak mieniły się jaskrawymi kolorami pełnymi słońca. Jerzy poczuł wirowanie w głowie. Może od tych kolorów, a może od emocji wspomnień. Wstał i podszedł do okna. Uchylił je. Oparty o framugę patrzył na drugą stronę ulicy. Tam gdzie kiedyś mieścił się jego zakład.

* * *

Jończakowa spod „dwójki” nie miała do niego daleko. Czesła się u Jerzego od zawsze. Można powiedzieć, że był na nią skazany. Dosłownie i w przenośni. Zwalista kobieta, ciężko sapała wchodząc nawet po kilku schodach do swojego mieszkania na parterze. Na fryzjerskim fotelu siadała zawsze z głośnym kłapnięciem. Całą wizytę potrafiła przegadać na temat sąsiadów i znajomych. W duchu nazywał ją „kuriernem osiedlowym”. Dla świętego spokoju przytakiwał jej co pewien czas – „Tak, tak Pani Jończakowa”. Gdy tego nie robił, ta trącała go łokciem, mówiąc z wyrzutem – „To słucha mnie Pan, czy nie?”. A jak przestawała opowiadać najnowsze ploteczki, to zaczynała narzekać. A to było jeszcze gorsze. Bo potrafiła narzekać na wszystko i zupełnie się nie krępowała Jerzym, utyskując nawet na bolesne wzdęcia.

I tak Jerzy, traktując Jończakową niemal jak dopust Boży, czesał ją regularnie od lat. Cesał ją w ten sam sposób. Właściwie mógłby to robić z zamkniętymi oczami. Nie było to skomplikowane, bo Joń-

czakowa niezmiennie hołdowała fryzurze z lat 60. Po prostu tapir, z którego nie miał prawa odstawać ani jeden włos. Jończakowa była dopustem, ale też jedną z tych stałych klientek, które gwarantowały Jerzemu pracę. Mógł się na nią zżymać w środku, na zewnątrz jednak okazywał usługną grzeczność.

Ktoś mu kiedyś powiedział, że to mentalność fryzjera. Początkowo chciał dać za to określenie w pysk, ale powstrzymał się. Dzisiaj zgadza się z tą opinią. Strzygąc trzymał się zasady, że nie rozmawia o polityce. Nigdy nie wiadomo, czym mógłby zrazić klientki. Za Gomułki o polityce nie rozmawiało się z obawy przed kapusiami. W czasach Gierka obowiązywał urzędowy optymizm i jakaś pseudo-duma, że doganiamy Zachód. Jaruzelski zasznurował wszystkim usta i w dodatku nieraz zdarzało się, że musiał przerywać strzyżenie, bo właśnie do sklepu obok rzucili kielbasę. Nawet Jończakowa, sapiąc jak lokomotywa, zrywała się z fotela z mokrą głową i biegła po parówkową.

Dopiero później okazało się jaką Jończakowa była dobrą aktorką. Zatkło go, gdy pewnego wieczoru na początku lat 80. ktoś zadzwonił do drzwi. Na klatce schodowej stała właśnie Jończakowa. Trzymała wielką walizkę i jak taran wepchała się do środka.

– Musi mi Pan pomóc. Zaczęła bez pardonu. Na jego próbę dowiedzenia się czegokolwiek, odparła, że nie ma wyjścia, bo tylko jemu tu ufa.

– Przechowa to Pan jakiś czas, aż się sprawa wyjaśni. To mówiąc otworzyła walizkę pełną solidarnościowych gazetek.

– Niech Pan pomyśli gdzie to można upchać. Mówiła szybko, tradycyjnie nie dając mu dojść do słowa. Pozostało mu tylko przytakiwać – „Tak, tak, Pani Jończakowa”. Na koniec tej huraganowej wizyty zaskoczyła go jeszcze bardziej, bo wspinając się na palce dała mu całusa w policzek, mówiąc:

– Niech się Pan nie martwi, będzie dobrze. Nie z takich opresji wychodziliśmy.

Po czym niezwykle lekko jak na siebie wybiegła z mieszkania i przeskakując niemal po dwa stopnie zbiegła w dół. Jerzy stał przez chwilę zbaraniały. Gdy w miarę doszedł do siebie, zaczął gorączkowo myśleć, gdzie ukryć nieoczekiwany bagaż. Walizka była na tyle duża, że nie mieściła się w żadnej szafie. Próbował ją wcisnąć do wersalki, ale ta nie składała się wówczas. W końcu wymyślił, że wrzuci walizkę

na górę pawlacza. Nie mogąc jej jednak unieść, wyjął ze środka część gazetek i schował do szuflady. Po czym wspiął się na krzesło i z trudem wcisnął walizkę do schowka.

Następnego dnia, gdy spotkał Jończakową na ulicy, ta nie dała niczego po sobie poznać. I była tą samą marudą, głędzącą do sąsiadki o strasznym bólu głowy, którego doświadczyła w nocy. Jerzy minął je więc, skinąwszy tylko głową.

Nigdy się nie dowiedział, co się miało wyjaśnić tamtego wieczoru. Kilka dni później przyszedł do niego do zakładu młody brodaty mężczyzna w okularach. Usiadł w fotelu i poprosił o golenie. Gdy Jerzy namydlał mu twarz, usłyszał, że następnego dnia rano przyjdzie ktoś po walizkę. Tak też się stało. Szpakowaty drągał zabrał bagaż. Dopiero gdy wyszedł, Jerzy przypomniał sobie o gazetkach w szufladzie. Wybiegł nawet przed dom, chcąc dogonić mężczyznę, ale na ulicy nie dostrzegł nikogo. W ten sposób gazetki zamieszkały u niego na stałe. I dotrwały do dzisiaj w trzeciej szufladzie.

Pochylił się nad nią. Zszarzałe strony szorstkiego papieru, śmierdziały farbą drukarską. Co pewien czas rozpylał do wnętrza wodę kolońską, żeby charakterystyczna woń prymitywnego wydruku, nie zawładnęła całym pokojem.

Ostatni raz czesał Jończakową, gdy już do wolnej Polski miał przyjechać papież. Jak zawsze był tapir, ale Jończakowa była jakaś zamyślona. Trzy dni później zmarła. Na pogrzebie były tłumy. No bo kto nie znał Jończakowej. Był nawet poczet sztandarowy „Solidarności”, biskup, trzech księży i pewien bardzo znany poseł. Poseł przyglądał się Jerzemu i po pogrzebie podszedł do niego. Ucisnął dłoń i powiedział:

– Pewnie mnie Pan nie poznaje. Ale to Pan mnie golił niedaleko mieszkania nieboszczki. Dziękuję za to, co Pan wtedy dla nas zrobił. Przepraszam, śpieszę się. Może jeszcze kiedyś o tym pogadamy.

Jerzy nie liczył na to specjalnie. Zresztą nigdy w życiu nie liczył na wiele. Minimalizm najlepiej mu odpowiadał. Każdy, kolejny dzień życia był wystarczającą nagrodą, by nie mieć wobec świata żadnych roszczeń. Wystarczało mu to co jest.

Z wszystkich dni tygodnia Jerzy najbardziej lubił sobotnie poranki. Dreptał wtedy w szlafroku do kuchni. Bez pośpiechu wyciągał patelnię, na którą wrzucał trochę masła. Z lodówki wyjmował boczek w plastrach i pięć jajek. Żeby jajka nie sturlały się ze stołu, wkładał je do leżącej tam zawsze pustej wytłoczki. Pod samą kuchenkę podsuwał kosz na śmieci i rozpoczynał swoje jajeczne misterium.

Na krawędzi stołu kładł kawałek papierowego ręcznika. Tak, żeby rozbijając jajka nie zabrudzić blatu. Wcześniej wrzucał na roztopione masło pokrojony w kostkę boczek. Gdy mięso skwierczało i w powietrzu czuło się specyficzny, soczysty aromat, Jerzy rozbijał trzy jajka o kant stołu i wylewał ich zawartość na patelnię. Skorupki z jego dłoni spadały wprost do podstawionego kosza. We wszystkim co robił nie było ani jednego zbędnego ruchu. Lekko solił jajka i bełtał je drewnianą, nieco sfatygowaną packą. Nie lubił ściętej jajecznicy, smażył ją więc na wolnym ogniu, starannie mieszając.

Jajecznicę wykladał na talerz, który wcześniej przyozdabiał krążkami czerwonej papryki, krojonymi od dołu owocem lub malinowymi pomidorami. Dawniej posypywał je jeszcze pieprzem, ale gdy z wiekiem jego kubki smakowe stały się mniej wrażliwe, nie czuł już takiej potrzeby. Do śniadania robił sobie kawę z mlekiem, którą całe lata popijał z grubego białego kubka. Kubek przeżył już wiele, o czym świadczyły liczne szczyrby na jego brzegu. Jerzy, choć pedantyczny we wszystkim co robił i nie znoszący fuszerki, nie miał jednak sumienia, żeby wyrzucić kubek do śmieci. To była chyba jego najbardziej osobista rzecz.

Po śniadaniu, które uzupełniały jeszcze konfitury, najczęściej morelowe, Jerzy od razu zmywał. Nie lubił zlewu zavalonego stosem naczyń. Nie lubił mazi rozkładających się resztek jedzenia, ani ich woni. Dziwnym się mogło wydawać, ale w ogóle nie przeszkadzał mu natomiast zapach czosnku, kapusty kiszzonej, ogórków małosolnych czy ryb. Wszystkich tych intensywnych zapachów, o których większość z obrzydzeniem mówi, wykonując charakterystyczne gesty palcami, zaciskającymi się na skrzydełkach nosa – „ależ capi”.

Gdy było już pozmywane, Jerzy przystępował do drugiej części jajecznego rytuału. Rozbijał pozostałe dwa jajka. Jedno wlewał w całości

do metalowej białej miski, a z drugiego brał tylko żółtko. Dodawał do nich łyżeczkę miodu i wlewał świeżo wyciśnięty sok z cytryny. Wszystko dokładnie mieszał, aż do uzyskania jednolitej, kleistej substancji. Zlewał ją do niewielkiej buteleczki i szedł z nią do łazienki. Zerkął w lustro, przeczesując palcami włosy. Kiedyś miał bujną, gęstą czuprynę. Teraz na czubku głowy wyraźnie widać było jasny, gładki okrągły placek. Miał tak regularny kształt, że skojarzenie z mniszą tonsurą samo się nasuwało. Jerzy pochylał się nad wanną i zawartość butelki wylewał na czubek głowy, starannie wcierając, szczególnie w miejscu, gdzie widoczna była goła skóra.

Przepis na tę miksturę dostał od nieboszczki Jończakowej. Powiedziała mu wtedy:

– Panie Jerzy, z tą swoją łysinką może i wygląda Pan męsko, ale reklamą zakładu to ona nie jest. Mój szampon jajeczny włosów Panu nie przywróci, ale więcej ich nie ubędzie.

Nie bardzo wierzył w jej zapewnienia. Ale od piętnastu lat placek na głowie się nie powiększał. Dokładność i systematyczność Jerzego sprawiła, że przez te lata nie opuścił ani jednego wcierania w głowę jajecznej mikstury. Szybko przemnożył w myślach 52 tygodnie przez 15 lat razy 2 jajka. Dawalo to w sumie 1560 jajek zużytych w czasie 780 jajecznych zabiegów. Ile to kur musiało się nagdakać, żeby on mógł spełniać swój rytuał. Lubił mnożyć, dodawać, rozwiązywać łamigłówki. Odprężał się przy tym po godzinach stania z nożyczkami i grzebieniem w rękę.

Dwa lata zajęło mu przepisanie wszystkich przepisów mamy. Tych kulinarnych i dobrych rad gospodyni domowej. Mama trzymała je w kilku zeszytach, które z biegiem lat rozsypały się. Jerzy podzielił je na dwa grube bruliony. Jeden zawierał przepisy do pieczenia i gotowania. Drugi gromadził domowe sposoby radzenia sobie z różnymi drobnymi katastrofami. A to z poplamionym popiołem obrusem, a to z przemoczonymi całkowicie butami, czy też z mszycami rzucającymi się na warzywa w ogrodzie. Właśnie do tego drugiego brulionu trafił przepis Jończakowej na jajeczny szampon. Trafił tam pro forma, z najzwyklejszego skrupulanctwa Jerzego. Przepis był bowiem tak prosty, że Jerzy nauczył się go po jednym przyrządzeniu mikstury.

Zeszyty starannie opisane spoczywały obok siebie, równo ułożone, dokładnie wypełniając przestrzeń kolejnej szuflady. Jerzy traktował ją

jak centrum zarządzania kryzysowego. Nie raz uratowała mu ona nie tyle życie, co honor. Co było chyba równie istotne, bo coś znaczy życie bez honoru. Jerzy przekonał się o tym nie raz.

* * *

W pewne jesienne późne popołudnie, nieco słotne i pukające w dąszek nad wejściem spadającymi żołądziami, w zakładzie pojawił się mężczyzna w średnim wieku. Rozglądał się uważnie na boki, dość nerwowo. Palto miał rozpięte, a spod niego wystawała marynarka w kratę, z dobrej angielskiej wełny. Mężczyzna był starannie ostrzyżony, a jego spiczasty wąsik był idealnie wyrównany. Jerzy nigdy wcześniej nie widział tego eleganta.

Gdyby nie żal widoczny w oczach mężczyzny, można by pomyśleć, że w tym nerwowym rozglądaniu tkwią jakieś złe intencje. Jerzy szybko jednak zrozumiał, że chodzi o dyskrecję. Mężczyzna zaczął ściszym głosem, bardzo oficjalnie.

– Szanowny Panie, moje nazwisko nic Panu nie powie. Niech Pan też wie, że nie o nazwisko tutaj chodzi. Chciałbym Pana poprosić o pewną prostą przysługę. Niech się Pan nie boi, o fryzjerską, ale poza Pana zakładem. Jeśli się Pan zgodzi, moglibyśmy pójść od razu.

Jerzy zerknął na zegarek, do zamknięcia zakładu pozostał tylko kwadrans. Skinął więc głową, że się zgadza i szybko pozbierał do torby swoje przybory. Mężczyzna przyglądał się co pakuje i wyraźnie dał do zrozumienia, że Jerzy wiele brać z sobą nie musi. Potwierdził to jednym krótkim zdaniem:

– To będzie proste, w pewnym sensie.

Całą drogę do domu Eleganta szli w milczeniu, stopniowo wspinając się wśród willowych zabudowań na wzgórze otaczające miasto. Zatrzymali się niemal na szczycie. Elegant powiedział wyraźnie – „To tu” i otworzył furtkę do ogrodu. Posesja była zadbaną. Była odzwierciedleniem dyskretnej elegancji jej właściciela. Podeszli do drzwi domu, które otworzyły się natychmiast bez żadnego skrzypnięcia. Weszli do środka. Było ciepło i pachniało świeżo upieczonym ciastem. Elegant zostawił na chwilę Jerzego w przedpokoju i zniknął w drzwiach po lewej stronie korytarza. Czekał na powrót gospodarza, Jerzy próbował przypomnieć sobie jakie ciasto tak pachnie. W myślach przewertował

wszystkie przepisy z brulionu matki. Nie był jednak do końca pewien. Na myśl przychodził mu albo drożdżowy lukrowany placek z węgierkami, albo morelowa tarta w migdałowej polewie. Gdy rozważał swoje kulinarne rozterki, wrócił gospodarz i poprosił go do pokoju.

Pokój był jasny, dość obszerny. Na szerszej ścianie, niemal na całej jej powierzchni, znajdowało się duże okno z drzwiami prowadzącymi na taras. Można się było tamtędy dostać wprost do ogrodu za domem. Meble były skromne, ale bardzo funkcjonalne – stolik, cztery proste krzesła z zielonym obiciem oraz dość długa sofa w podobnym kolorze. Na prawo od drzwi stała komoda. Nad nią wisiało prostokątne lustro, w którym odbijał się cały pokój. Elegant otworzył drzwi prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia i skinieniem głowy przywołał kogoś stamtąd.

Do pokoju weszła ładna, młoda dziewczyna w błękitnej skromnej sukience. Niewielki biały kołnierzyk był jej jedyną ozdobą. Dziewczyna miała gęste blond włosy, spięte w warkocz, sięgający niemal do pośladków. Twarz była dumna, oczy jasne i pełne determinacji. Jednocześnie w tym spojrzeniu było mnóstwo ciepła i łagodności. Z pewnością była świadoma swojej urody, ale nie epatowała nią. Jej moc była gdzieś ze środka. Była zjawiskowa. Jerzego z zachwyty wyrwał głos Eleganta.

– To Pana zadanie. Proszę obciąć córce warkocz.

– Ale, dlaczego?... ledwo wykrztusił Jerzy.

– Właściwie nie powinienem tłumaczyć, ale powiem Panu. Kasia wbrew mojej woli postanowiła iść do zakonu. I to do klauzurowego, do klarysek. Bardzo ją kocham i dlatego uszanuję jej pragnienie. A tam i tak by obcięli jej włosy. Chcę mieć jakąś pamiątkę po córce. Wiem, że mogę już jej nigdy nie zobaczyć.

Jerzy nadal stał bez ruchu. Elegant uniósł dłoń, zachęcając go do działania. Podeszedł wolno do dziewczyny i tak jak to robił w zakładzie fryzjerskim, zarzucił jej na ramiona pelerynę. Chwycił ciężką kیتę warkocza i wprawnymi cięciami dużych nożyc odciął włosy kilka centymetrów od głowy. Warkocz jak wąż wywinął się w kierunku ziemi. Jerzy podał go Elegantowi. Ten z nabożną czcią owinał włosy w białe płótno. Kasi zawilgotniały oczy i wybiegła z pokoju.

– To jednak wcale nie było proste – powiedział Elegant, bardziej do siebie niż do Jerzego. Ten spakował swoje przybory i ruszył do wyjścia. Elegant wyciągnął do niego dłoń z banknotem. Jerzy zdecydowanie pokręcił przecząco głową i wyszedł na zewnątrz.

Mijały lata, a Jerzy ciągle nie mógł zapomnieć tego zdarzenia. Na adres jego zakładu co pewien czas przychodziły z Krakowa koperty ze świętymi obrazkami. Nie zawierały żadnych listów, tylko kilka słów modlitewnego pozdrowienia napisanych wiecznym piórem. „Ufaj Jezusowi”, „Bóg Cię wysłucha”, „W Bogu nie trać nadziei” – te słowa Jerzy znajdował najczęściej. Żeby nie było wątpliwości, że są skierowane właśnie do niego, opatrzone były zawsze dopiskiem – „Dziękując za odcięcie mnie od świata doczesnego – s. Katarzyna OSC”. Wtedy zawsze łzy stawały mu w oczach i ponownie też słyszał słowa Eleganta – Bardzo ją kocham i dlatego uszanuję jej pragnienie.

Jerzy podziwiał wielką ojcowską miłość Eleganta. Sam nigdy nie miał możliwości ani takiej zaznać, ani takiej okazywać. Jego ojciec utonął w jeziorze w 1934 roku, gdy Jerzy miał dwa lata. Ojca więc w ogóle nie pamiętał. Sam dzieci nie miał. W czasie wojny ciężko chorował, przez co dzieci mieć nie mógł. Szczerze mówił o tym każdej kobiecie, którą los stawiał na jego drodze. Choć chciał być przez którąś z nich tak mocno kochany, że byłąby gotowa zrezygnować z macierzyństwa, to jednak przecież rozumiał te kobiety i ich matczyne pragnienia. Nie mógł więc zmuszać ich do tak dramatycznego wyboru. Mógł jedynie liczyć na to, że wśród kobiet, które mu się podobają i które pokocha, trafi na kobietę, tak jak i on, bezpłodną. Tak się jednak nie stało. Ale ta wrażliwość na potrzeby kobiet pomagała mu w jego pracy.

Siostra Katarzyna przysyłała obrazki prawie dwadzieścia lat, aż do śmierci swojego Ojca. O tym, że Elegant ciężko zachorował, Jerzy dowiedział się właśnie z listu od klaryski. Tym razem przesyłka zawierała tylko zwykłą białą kartkę z prośbą – „Nie wiem, czy jest Pan wierzący, czy nie. Jeśli tak, to proszę o modlitwę za mojego chorego Ojca. Jeśli nie – to po prostu proszę o nim ciepło myśleć. Bardzo cierpi”. Jerzy myślał więc i się modlił tak jak umiał. Wyciągał wtedy z szuflady te wszystkie święte obrazki i rozkładał je na stole jak talie kart. Wpatrywał się w nie z nadzieją, że takie zgromadzenie świętych wizerunków musi mieć szczególną moc.

Gdy Siostra Katarzyna stanęła w progu jego zakładu, wiedział, że nie przychodzi z byle powodu. Już w progu oznajmiła mu: – „Mój Ojciec zmarł”. Gdy weszła do środka, wyciągnęła z torby zawiniątko i podając Jerzemu powiedziała:

– Proszę to zatrzymać. Kiedyś miał go już Pan w rękach. Tyle lat Tata trzymał go, wierząc, że wróć do niego. Nie wróciłam. Niech Pan weźmie mój warkocz. Gdy Pan go odcinał, byłam w duchu wściekła na Pana i jednocześnie Panu dziękowałam. Wściekła, że tych włosów nie obciął mi mój Ojciec, ale to chyba było ponad jego siły. A dziękowałam Panu za to, że w żaden sposób nie starał się Pan tego komentować. Niech Pan zrobi z warkoczem co zechce.

Jerzy trzymając zawiniątko w dłoni, ledwo coś nieskładnie wybełkotał. Siostra Katarzyna odwróciła się i wyszła niknąc w wieczornym mroku. Nie starał się jej zatrzymać. Złocisty warkocz, taki jaki zapamiętał sprzed lat, znalazł miejsce w szufladzie ze świętymi obrazkami. W ten sposób Jerzy jakby „poskładał” Siostrę Katarzynę. Jej przeszłość z teraźniejszością.

* * *

W niedzielne popołudnia Jerzy jeździł na grób matki. Autobus wiozł go przez całe miasto, na zalesione wzgórze. Nie był to największy cmentarz miejski, tylko taki kameralny. Wszyscy odwiedzający groby znali się, a co najmniej wymieniali grzecznościowe ukłony. Cmentarz zaludniał się w okresach przedświątecznych. Jerzy dostrzegał wówczas, jak ludzka pamięć potrafi pulsować. Groby zaniedbane całymi miesiącami, a nawet latami, w błyskawiczny sposób odzyskiwały wtedy blask. Odświeżone litery na kamiennych tablicach układały się w czytelne imiona i nazwiska konkretnych osób. Zmarli jakby wracali w ten sposób do życia. A każdy z nich chciałby coś powiedzieć przechodzącym, zatrzymać ich choć na chwilę przy miejscu spoczynku. Część z tych osób, to były klientki Jerzego.

Matkę też czesał, choć trzeba przyznać, że kosztowało go to sporo nerwów. Nie była łatwą klientką. Prawie nigdy nie była zadowolona i zawsze twierdziła, że sama potrafi zrobić to o wiele lepiej. Nie lubiła żadnych nowości. Domagała się, by podcinał ją tak, jak nosiła się zaraz po wojnie. Matka, nie dość, że była odporna na sezonową fryzjerską modę, to w dodatku nie dała sobie powiedzieć, że z upływem lat jej zmieniające się rysy twarzy, wymagają korekty fryzury. Uważała, że najkorzystniej wygląda w starannie ułożonych włosach, jak to mówi-

ła „na młodą wdowę”. Włosy tworzyły swoistą wyniosłą konstrukcję, przy okazji dodającą kilka centymetrów wzrostu.

W relacjach z matką, to Jerzy był stroną ugodową, żeby nie powiedzieć uległą. Nie znosiła sprzeciwu, zawsze stawiała na swoim. To właściwie ona wybrała mu zawód. Mówiła, że w zrujnowanym przez wojnę kraju, każdy może być murarzem, ale z czasem murarzy zastąpią maszyny. Natomiast kobiety do końca świata zawsze będą chodziły do fryzjera. I w przeciwieństwie do mężczyzn, nie tylko żeby się ostrzyć i uczesać, ale i lepiej poczuć, dowartościować. Właśnie to uważała za sposób na sukces zakładów fryzjerskich. Dowartościowywanie kobiet.

Jerzy dbał więc o klientki, wysłuchiwał ich wyznań i westchnień. Niespecjalnie im w tym przerywał, taktownie przytakiwał. Wychodziły więc od niego podwójnie zadowolone. Niezaprzeczalnie miał talent w dłoniach i cierpliwość do kobiet, wyćwiczoną przez całe lata mieszkania z matką. Przy okazji poznawał też różne kobiece rozterki i gdyby ktoś chciał spożytkować tę jego wiedzę, z pewnością mógłby napisać niejedną poradnik o skomplikowanej niewieściej duszy i psychice. Czasem żałował, że sam tego nie zrobił.

To w swoim zakładzie przekonał się, jak kobiety potrafią być rozkojarzone, czy też jak one uważają – jak bardzo mają podzielną uwagę. Jednocześnie myślą o tym co teraz, rozpamiętują to co było i rozważają różne scenariusze na przyszłość. Z tego rozkojarzenia kobiety potrafiły przychodzić do niego niekompletnie ubrane, z rozsuniętym zamkiem spódnicy, z jednym kolczykiem w uchu, a kilka razy zdarzyło się, że w dwóch różnych butach. Jerzy niczemu głośno się nie dziwił. Jeśli mankament dało się poprawić na miejscu, dyskretnie informował o tym klientkę.

Gorzej było z tymi klientkami, które w życiowym pędzie zostawiały pod krzesłami lub na wieszaku, a to parasolki, rękawiczki, jakieś drobne zakupy, gazety czy książki. Raz nawet znalazł pozostawiony osobisty pamiętnik, z dość intymnymi wpisami. O bolesnych miesiączkach, ich braku, o starających się mężczyznach i o nowych, oszałamiających sukienkach jakiejś Basi.

Zazwyczaj trzymał w zakładzie te znaleziska przez 2–3 miesiące, mając nadzieję, że ktoś się po nie zgłosi. Gdy jednak po zguby nikt się nie zjawiał, część rzeczy – te, które do niczego się nadawały lub

po prostu się przeterminowały wyrzucał, a pozostałe z braku miejsca wynosił do domu. Wcześniej jednak wpisywał te przedmioty do specjalnej księgi rzeczy znalezionych. Starannie je opisując, niemal z dokładnością wykwalifikowanego archiwisty. Księga leżała na parapecie okna tuż obok wejścia i każda z klientek mogła ją przewertować w poszukiwaniu swojej własności.

Gdy Jerzy przeszedł na emeryturę, zabrał księgę do domu. Umieścił ją w szufladzie, poniżej tej z warkoczem Kasi, a na prawo od tej z widokówkami od Marty. To było dobre sąsiedztwo. Ludzka namiętność i głęboka miłość otaczały ten spis zagubionych, osieroconych przedmiotów. Jerzy wyciągał księgę i przeglądając jej kartki, ćwiczył pamięć. Patrząc na poszczególne wpisy, starał się przypomnieć, jak wyglądały zanotowane tam rzeczy.

Jego fotograficzna pamięć, w połączeniu z pedantyczną dokładnością, bez problemu radziła sobie z charakterystycznymi przedmiotami nawet sprzed trzydziestu lat. Ale niekiedy łapał się na tym, że za żadne skarby nie kojarzył niektórych zapisanych pozycji. Z całej księgi najbardziej zadziwiała go zguba z 1977 roku wpisana pod numerem 62. A właściwie kompilacja jej zawartości.

„1977.05.22. Reklamówka Otto z zawartością: stanik biały z koronki noszony, rozmiar C75; tabliczka czekolady mlecznej 22 Lipca, dawniej E.Wedel; żółty naostrzony ołówek o twardości HB z gumką na końcówce; stalowa srebrna suwmiarka z inicjałami EC”. Gdy robił ten wpis do księgi pomyślał, że reklamówkę zostawiła jakaś przodownica pracy. Potem doszedł jednak do wniosku, że przodownica nie ścigałaby stanika w zakładzie pracy z byle powodu, tylko zajmowałaby się pracą. No chyba, że tym powodem był facet. Ale wtedy przez zakładową miłość lub seks, a najpewniej przez jedno i drugie, kobieta przestałaby być przodownicą pracy.

* * *

Szufladą, do której Jerzy najbardziej lubił zaglądać, była jak ją nazywał „Siódemka”. Po prostu siódma z kolei. A że przy okazji to szczęśliwa liczba, więc umieścił w niej różne bibeloty. „Takie radosne duperele” jak mawiał w duchu. Skąd się te bibeloty wzięły? Jeśli można to tak określić, był to „rodzinny dorobek”. Pasja zbieractwa mniej lub

bardziej przydatnych przedmiotów. Kilka rzeczy, przygarniętych przez Matkę, pochodziło jeszcze sprzed drugiej wojny. Sprzączki, klamerki, paradne guziki od nie wiadomo jakich mundurów. Jerzy, po wytłoczonym na nich wizerunku św. Floriana domyślał się, że kilka na pewno zapinało paradną kurtkę jakiegoś dzielnego strażaka. Biorąc je do ręki, przypominał sobie z dzieciństwa strażacką orkiestrę dętą, przygrywającą z okazji rocznicy Konstytucji 3 Maja na specjalnym capstrzyku w centrum miasta.

Jasne, że Jerzy jak każdy chłopiec chciał być strażakiem. A właściwie na zmianę strażakiem, policjantem i marynarzem. Czasem jeden dzień biegał po podwórku w starym rondlu na głowie i polewał wszystkich wodą, mówiąc, że gasi pożar, by kolejne trzy dni skradać się w okolicznych zaułkach, śledząc Bogu ducha winną kobietę. Twierdził wszem i wobec, że jest właśnie na tropie słynnej fałszerki pieniędzy, która dla niepoznaki ukrywa się w ich peryferyjnej dzielnicy. Potem nachodziła go faza pływania po pobliskim jeziorku na tratwie skleconej z wieka od skrzyni, z kijem od miotły wetkniętym pośrodku, jako imitacja masztu. A że wydzierał się przy tym wniebogłosy, wyśpiewując szanty, przegonili go stamtąd wędkarze, bo im płoszył ryby.

Uśmiechał się zatem Jerzy do tych guzików św. Floriana, wspominając swoje dzieciństwo. „Siódemka” była jedynym miejscem w domu, w którym panowała swoboda i nie można się było doszukać jakiegokolwiek ułożenia rzeczy. Prawdopodobnie wynikało to z istoty „radosnych dupereli”, świadków szczęśliwych chwil. Wiadomo, że szczęście, to ledwo okruszki życia, a reszta to mozolne składanie codzienności w jakiś doraźny sens. Jerzy doszedł do tego wniosku dość szybko, gdy tylko przekonał się, że to co mówiła mu Matka o nieśmiertelności zakładów fryzjerskich jest prawdą.

Nic więc dziwnego, że większość „radosnych dupereli” związana była z jego fachem. Była więc kolekcja kilkunastu małych, okrągłych kieszonkowych lusterek, w plastikowych ramkach z czarno-białymi fotografiami gwiazd filmowych na odwrocie. Od Garbo i Dietrich po Bardot i Loren oraz od Gable’a i Deana po Delona i Belmondo. Takie lusterka to był szal potańcówek. Dziewczęta zanim wyszły na podest z desek, zerkwały w lusterka, poprawiając szminką usta i czerniąc rzęsy, a chłopaki przylizywali włosy. Oczywiście i one, i oni, robili to tak, żeby otoczenie widziało jaką gwiazdę mają w lusterku.

Obok lusterek w szufladzie było też kilka fantazyjnych grzebieni, z powykęcany mi niby falujące loki uchwyty, w modnych wówczas miódowo-brązowych odcieniach. Był też prosty grzebień z krótką rączką we wściekle czerwonym kolorze. Jerzy nie pamiętał dobrze, który z jego braci go używał. W każdym razie młodzież męska namiętnie nosiła taki grzebyk w tylnej kieszeni spodni. Jaskrawa rączka grzebienia wystawała na zewnątrz udowadniając, że mamy do czynienia ze światłym człowiekiem, który dba o swoją fryzurę.

Prawdziwą ozdobą fryzjerskich „radosnych dupereli” była dość okazałej wielkości butelka po wodzie perfumowanej w wiklinowym koszyku. Jerzy na koniec modelowania włosów rozpylał tę wodę wokół głowy klientek, energicznie pompując ją przy pomocy gumowej gruszki, połączonej z butelką cienkim wężykiem. To wówczas słyszał rozpromienione – „Ach, Panie Jerzy, wystarczy, wystarczy, ja tam nie jestem taka światowa dama”. Miał na to gotową odpowiedź – „Ależ droga Pani, teraz świat do Pani należy”.

Część zawartości „Siódemki” trafiła do szuflady od przypadkowych osób. Czekając kiedyś na autobus Jerzy obserwował pewnego, dość oryginalnego mężczyznę. Ubrany niezwykle kolorowo i jaskrawo, w kanarkowe spodnie i buraczkową marynarkę, przekładał coś namiętnie w teczkę. Gdy Jerzy zaczął się mu intensywniej przyglądać, ten nieoczekiwanie uniósł głowę i spoglądając wprost w oczy powiedział:

– Taki Pan smutny, że dam coś Panu.

To mówiąc wręczył Jerzemu plastikowe okrągłe białoróżowe pudełko po kremie Bambino. Na pytające spojrzenie Jerzego, zachęcił go:

– Ależ śmiało, proszę otworzyć.

W środku było kilkanaście kilkucentymetrowych szpilek z czerwonymi serduszkami w miejscu główki. Jak wyjaśnił ofiarodawca, takie szpileczki wetknięte w bukiet kwiatów, czy w opakowanie prezentów mówią o wiele więcej, niż byśmy mieli śmiałość powiedzieć. On to w życiu wypraktykował i nie zamierza przestać obdarowywać bliznich tymi serduszkami. Jerzy chyba po raz pierwszy w życiu zarumienił się na słowa mężczyzny. Ten widząc zakłopotanie Fryzjera, odparł filuternie:

– Nie, nie, proszę się nie obawiać, nic Panu nie grozi. Ja pasjami kocham kobiety.

Jerzy dopiero wtedy zdobył się na uśmiech, a nawet wpisując się w konwencję rozmowy odpowiedział uprzejmie:

– Nie wątpię, że i one Pana z wzajemnością.

Przez kilka lat, jakie minęły od spotkania z posłańcem czerwonych serduszek, z pudełka „Bambino” ubyły niemal wszystkie szpileczki miłości. I za każdym razem Jerzy napotykał w oczach obdarowanych coś, co pozwalało mu sądzić, że drobny czerwony akcencik może bardzo wysoko unosić ludzkie dusze.

* * *

Z okna mieszkania widać było szklarza, sklep zoologiczny z ogromnym akwariem na wystawie, kwiaciarnię i sklep z tytoniem do fajek. Jerzy dobrze znał te wystawy, bo były tu od zawsze. Patrzył na pusty lokal obok szklarza. Kiedyś to tam miały mu całe dni. Wkrótce po odejściu Jerzego na emeryturę zakład fryzjerski zamknięto. Jakiś czas był tam warzywniak, potem sklep elektryczny, kantor, a potem lombard. Od dłuższego czasu lokal nie mógł znaleźć chętnego i brudne szyby zaczęły pełnić rolę tablicy ogłoszeniowej, na której naklejano różne informacje. Obok plakatów koncertowych wisiały reklamy salonów kosmetycznych, nadzwyczajnych przeróżnych promocji, obwieszczenia o poborze do wojska, a w czasie kampanii wyborczych swoje gęby szczyrzyli stąd kandydaci jedynie słusznych ugrupowań.

Jerzemu smutno było na widok pustki po niegdysiejszym życiu. Poszedł do kuchni po tabletki. Gdzieś z górnych pięter dobiegły go słowa piosenki:

„Może sen przyjdzie, może mnie odwiedzić”.

Oczy zaszkliły się. Zaczął się zastanawiać, kiedy ostatnio dobrze spał. Kiedy go ktoś odwiedził. Rozglądał się po pokoju. Patrzył na nieme przedmioty i przed oczyma przelatywały mu sceny z życia. Jak tasowanie kart, jak zmieniające się obrazki w fotoplastikonie. Gorąco napłynęło mu do głowy, szum i świst wypełnił uszy. Jednocześnie zrobiło mu się zimno w stopy. Podszedł do segmentu, żeby wyciągnąć ciepłe skarpety. Pochylił się i sięgnął ręką po uchwyt szuflady. Uchwyt zaczął mu uciekać. Jerzy chciał go złapać i schylił się jeszcze bardziej. W tym momencie poczuł ukłucie w skroniach i jakiś przygniatający

ciężar na barkach. Kolana ugięły się, a w powietrzu jakby zabrakło tlenu.

Jerzy upadł do przodu i starając się przytrzymać segmentu pociągnął z góry w dół za uchwyty szuflad. Wysunęły się z rumorem i spadły na podłogę. Ciężar ciała Jerzego wyłamał je do końca. Odsłoniła się ostatnia, ósma szuflada. Była pusta.

To tam zaczęła kapać krew.

KRZYSZTOF BĄK
godło: „Pesto”

II nagroda w dziedzinie prozy



KRZYSZTOF BĄK – urodzony w 1980 r. w Katowicach. Absolwent politologii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach i ekonomii na Uniwersytecie Ekonomicznym w Katowicach. Przez lata związany z mediami województwa śląskiego. Prywatnie ojciec siedmioletniej Zosi i czteroletniego Tymka. Od urodzenia mieszka w Mysłowicach. Prowadzi działalność gospodarczą.

STYGNĄCA HERBATA

Herbata, dwie łyżeczki cukru. Gorąca woda. Koniecznie gorąca, by mogła nieco ostygnąć wysysając z tonącej w niej torebki ciemną strużkę smaku i koloru. Stygnąca nie tak szybko herbata w szklance trzymanej nieodwracalnie wygiętymi do wnętrza dłoni palcami. Jeszcze ciepłymi, jeszcze.

A przecież w czterdziestym czwartym roku, te palce były proste, nieco krótsze i gładkie. Jeszcze gładkie, choć już zarastające chropowatością. Wtedy gładka tkanka nie dawała się tak łatwo. Ulegała co prawda zimnym i mokrym uchwytom dużego, zbyt dużego jak na czternastoletnie ręce, kosza. Pełnego mokrej, szarej bielizny, bluz, drelichowych spodni i słów.

Słów spisanych w tajemnicy. Słów w tajemnicy przekazanych na świstku papieru ukrytym w mankiecie nogawki, kołnierzyku bluzy. Słów odczytanych w źle oświetlonym pomieszczeniu. Godnych odpowiedzi na równie niewielkim fragmencie starej gazety.

Były to słowa wielkiej wagi dla piszących i czytających je w ukryciu, a jednocześnie wagi zupełnie nieodczuwalnej dla tych czternastoletnich, zmarzniętych dłoni. Jeszcze gładkich, choć już zarastających chropowatością. Istotność słów dla czternastoletniej dziewczyny, regularnie niosącej ciężki kosz z brudną lub wypraną obozową bielizną, wyrażała się w jednej paczce brakującej wszędzie herbaty i kilku kilogramach ziemniaków za tę fatygę.

Ich znaczenie gwałtownie straciło na i tak małej wartości pewnego zimowego dnia, gdy oprócz przenikającego palcami aż do samych ramion chłodu, poczuła trudny do zapomnienia chłód przyłożonej do karku lufy. Wzmocniony krótkim: *kleine Schweine* i bólem wymierzzonego w brzuch kopniaka, bólem ciężkiego kosza przygniatającego nogi, zmarzniętej zawartości rozsypującej się w oka mgnieniu i roz-

rzucanej jeszcze bardziej przez odzianą w ciepłą, skórzaną rękawicę, męską dłoń.

Czternastoletnie, nieco tylko chropowate i stwardniałe dłonie, wciąż jednak na znaczącej części swej powierzchni miękkie i delikatne, nie ciepłe, zmarznięte, skostniałe, usztywnione strachem i sparaliżowane głodem, same splotły w nierozzerwalnym uścisku, węzle wzmocnionym wymawianymi ledwie ruszającymi się wargami, na zmianę: Ojcie Nasz, któryś jest w niebie, *geheiligt werde ein Name*, przyjdź królestwo twoje, *ein Wille geschehe, wie im Himmel*, tak i na ziemi... *Vater unser im Himmel*, święć się imię twoje.

Czy to szeptane do ucha przez matkę polskie czy wbijane przez Frau Helge niemieckie słowa mające jednakie, błagalne znaczenie, trafiły do uszu młodego esesmana, nie wiadomo. Ale po kilku kopniakach stracił zupełnie zainteresowanie tym skulonym, nastoletnim, wychudzonym ciałem tragarki wypranej bielizny, godnej jedynie wykrzyczanego w powietrze: *raus*.

Jeszcze wiele gorących herbat później, okraszanych już wtedy permanentnie deficytowym cukrem, te same, bogatsze o kilkanaście nieco głębszych bruzd dłonie, wciąż drżały na myśli o tym zimowym dniu. A skostniałego wtedy ciała, wciąż sztywniejącego z zimna, długo nie potrafiła rozgrzać najgorętsza herbata.

Zawsze słodzona i zawsze gorąca. Może dlatego, że zimy i wtedy, i dziesięć lat później były srogie. Może nawet jeszcze sroższej, gdy już z jednym dzieckiem na rękę, a drugim – chorowitym – w wózku, przecierała dziewicze szlaki pomiędzy śnieżnymi zaspami tuż po piątej rano każdego z sześciu roboczych dni.

Pobudka tuż po czwartej, garnek z wodą na piec, szybka toaleta w lodowatej wodzie. Czerstwy chleb naprędce krojony i obdarowywany smalcem ze skwarkami, zawijany w gazetę albo nieco bielszy papier, chowany do męskiej torby od sześciu lat zajmującej miejsce na podłodze tuż obok drzwi wejściowych do niewielkiego mieszkania w pożydowskiej kamienicy. Budzenie dzieci, karmienie, otulanie po nos, narzucanie jesiennego, przetartego płaszcza na ramiona, wynoszenie półśpiących zawiniątek i codzienne przedzieranie się przez skute szarą, lodową skamieliną miasto.

Najpierw do przedszkola, potem – kilka kilometrów dalej – do największych w mieście zakładów mięsnych. Tam, kolejna herbata. Sypa-

na ukradkiem z szarej torebki ukrywanej skrzętnie na dnie blaszanej szafki przed oczami, rękami i podniebieniami innych nisko wykwalifikowanych pracowników spożywczego kombinatu.

Herbatę kupowała w upaństwowionym sklepie przy Rynku, późniejszy noszący dumną nazwę „Delikatesy”, wtedy wciąż nazywanym „Siegfriedem”, od nazwiska pierwszego i zarazem ostatniego prywatnego właściciela punktu zaopatrzenia zubożałego społeczeństwa w niezbędne do egzystencji artykuły z gatunku: szwarc, mydło i powidło.

Brała zawsze dwie małe paczki. Zawsze piętnastego dnia każdego miesiąca. Zawsze z jednym dzieckiem na rękę a drugim – chorowitym – w wózku. Zawsze zdyszana po niemalże biegu przez całe miasto z pracy do przedszkola. Zawsze późnym popołudniem. Zawsze po długim wyczekiwaniu w kolejce do zakładowej kasy, by ten ciężko zarobiony grosz, przez niewielki otwór w podwójnej, okraszanej ciężką kratą szybie, swoją coraz bardziej chropowatą dłońią przenieść do pękającego na zgięciach portfela z zepsutym zatraskiem.

W długim sznurze równie zmęczonych, cuchnących kiepską kiełbasą wędzarzy, spoconych popychaczy wózków z półproduktami, pomocników, sprzątaczek, kierowców i portierów, zawsze wracał ten sam obraz sprzed lat. Mimo zmęczenia, czuła lekkość, gdy pod przymkniętymi powiekami w jednej chwili objawiała się jej piękna kamieniczka. Z ogromną, przesłoniętą lekko firankami, witryną na parterze, co chwila otwieranymi i zamykanymi drzwiami, z mijającymi się w nich ludźmi. Widziała – a to pana w kapeluszu, a to damę z torebką, a to mężczyznę z parasolką, a to kobietę z dwójką ślicznie ubranych dzieci, a to tęgawego, zawsze odzianego w białe spodnie i równie jasny kitel, podkreślającego sumiastego wąsa – właściciela tej jedynej cukierni w mieście.

Tuż po wojnie, razem z koleżanką ze szkolnej ławy, z której na całe życie na początku piątej klasy wygonili ich panoszący się w mieście hitlerowcy, pracowały tam dość krótko. Właściciela sumiastego wąsa, nieco mniej srebrzystego w owych czasach, okłamały w istotnej kwestii swojego wieku, zaręczając, świadcząc za siebie nawzajem, że w świat pełnoletniości, wkroczyły kilka miesięcy wcześniej. Tłumaczyły, że choć ze słodkimi wyrobami nie tylko jego zakładu, kontakt miały jedynie wzrokowy i zakłócony przez wystawową szybę, to na pewno sprawdzą się w roli pomocnic cukierników czy w jakiegokolwiek innej roli, byle tylko regularnie, co miesiąc opłacanej z cukierniczej kasy.

Zostały uczennicami magów wyczarowujących deficytowe słodkości. Pierwsze obowiązki wypełniały tym pilniej, im bliżej było do dnia pierwszej wypłaty. Ciepło kilku banknotów i monet czule pieściło ich dłonie, laskotało nastoletnią świadomość i umacniało dumę oraz poczucie człowieczej wartości mocno skopane powojenną nędzą.

Przygotowały się do tej wzniosłej chwili starannie. Rano wyprasowały niedzielne sukienki, natłuściły wyjściowe półbuty, starannie zaczeswały włosy, niesforne kosmyki ujarzmiając siłą płócienną opaski. Po pracy starannie wyszorowały lekko już chropowate dłonie, dygnęły uprzejmie przed odliczającym, z tłącym się pod wąsem uśmiechem, ich pierwszą wypłatę szefem, pożegnały się grzecznie i wyszły z cukierni. Nim domknęły się drzwi, oznajmiając ten fakt poruszeniem zawieszonego nad nimi dzwoneczka, w siedemnastoletnich naówczas pannach, dokonała się cudowna metamorfoza, obwieszczona owym mosiężnym zapowiadaczem kolejnych klientów, wprawionym w ruch popychanymi przez już lekko chropowate dłonie, drzwiami do cudownej krainy posiadaczy najmniejszego i najbardziej nietrwałego nawet majątku.

Połowę pierwszej wypłaty wydały właśnie w tej cukierni, którą teraz po latach, pod przymkniętymi powiekami, widziała bardzo wyraźnie. Zamówiły kawę, a do tego po cztery kremówki. Później zamówiły drugą kawę i jeszcze cztery ciastka. Te ostatnie ledwo zjadły.

Promieniejące, roześmiane, śliczne swą radością – chichotały zawzięcie. Przegadując się, kokieteryjnie spoglądając na uwijających się na zapleczu czeladników, czekały aż kolejna porcja przepysznych ciastek spocznie na tekturce, owiniętej papierem, by i w swych domach mogły podzielić się radością spieniężonej dorosłości. Połowę tygodniówki zostawiły od razu tam, gdzie ją wypracowały. Powinny zostawić znacznie więcej, ale lubiąca obydwie dziewczęta ekspedientka albo pomyliła się na ich korzyść w rachunkach albo nie nadążając za wciąż napływającymi klientami, nie dopisała kilku ciastek pod numerem zajmowanego przez nie stolika. Dzięki niej druga połowa słodkiej wypłaty trafiła do portfeli ich matek.

To dlatego stojąc co miesiąc w kolejce do kasy, po tylu latach wciąż czuła na swojej głowie głaszczącą dłoń rodzicielki. Ciężką, spracowaną, ale tym razem wyjątkowo ciepłą i miękką, jakby wytarta ukradkiem kantem dłoni łza miała cudowne właściwości wygładzające. I teraz chciała by tę matczyną pieśczętą poczuć jeszcze raz.

Teraz właśnie, przy końcu kolejki do kasy po wypracowaną resztkami sił wypłatę. Po nagrodę ocaloną ludzkim gestem brygadiera, wyrozumiałością kierownika produkcji, być może tylko chwilą słabości tych reżyserów drugiej szansy, przedłużoną wstawiennictwem koleżanki świadczącej, że mąż pijak, że problemy, że ta kielbasa w płaszczu to pewno z głodu, że to raz, że ją to na wzór pracowitości, że sama, że rano, że w mróz, śnieg, w deszcz, że punktualnie, że biegnie, że po dzieci, że mały chorowity...

Słabość małego stała się jej słabością kilka lat później. Odszedł w nocy. Sam. Ze szpitalnego korytarza. Nie doczekawszy lekarskiej diagnozy. W bólach. Bez rozpoznania. Lekarz miał ciężki sen. A chłopiec miał ciężką drogę. Bolesną. Usianą ucieczkami ze świadomości i powrotami do niej. W krótkich chwilach jasności wodził swymi dużymi oczami szukając czegoś, kogoś. Poruszał ręką, szukając ciepła nieco już chropowatej dłoni. Nie znalazł, więc zamknął oczy i już ich nie otworzył. A ona spóźniła się dosłownie o jedną omijaną zaspę śniegu, o jeden poślizg na zamrożonej kałuży, o mętny, nic nie rozumiejący, wzrok sanitariusza, o to jego nieświeże milczenie i o jedno trzaśnięcie drzwiami sanitarki, jedyną odpowiedź na jej histeryczne prośby: nie zabierajcie go beze mnie.

Spóźniła się być może o te kilka szlochów, gdy obserwowała tylne drzwi karetki. Stukot jej obcasów obudził pięciu pacjentów interny miejskiego szpitala, ale nie obudził chłopca. Krążąca coraz wolniej w jego drobnym, trawionym przez rozmaite choroby, ciałku krew nie popłynęła szybciej od jej mocnego uścisku i pocałunku. Kilkuletnia duszyczka nie chciała zawrócić, choć na pewno słyszała jej przejmujący krzyk, skoro usłyszał go nawet pogrążony w ciężkim śnie lekarz dyżurny. Zaniepokojony wyjrzał na korytarz, podbiegł nawet, podniósł powiekę dziecka, dotknął przegubu jego ręki, ale widząc wymalowaną na twarzy kobiety rozpacz, wycofał się ostrożnie do swojej dyżurki, wychylił resztę wódki w szklance, a nim zaległ snem sprawiedliwego na kozetce, popił jeszcze letnią herbatą.

Lodowato zimną herbatę, łyk po łyku, piła kilka godzin później już w domu. Dzieci spały snem niezakłóconym wielką falą kuchennego szlochu. Starego nie było. Wyszedł bełkocząc coś jak tylko wróciła. Wiele miesięcy później, po jednej z awantur, poprosiła go, by wyszedł i nie wracał w ogóle. Śmiał się i zataczał przekraczając próg mieszka-

nia. Równowagę pomogła odzyskać mu popychana przez nastoletnią wtedy już córkę walizka. Gdy znalazła się za drzwiami, obejrzał się, spojrzał w ciemne, niczym wyjęte z niego oczy i dostrzegł w nich tylko zaciętość.

Wtedy zrozumiał, że powrotu nie będzie. Motywy jej postępowania zrozumiał dwie dekady później, gdy tuż przed swoją śmiercią zdążył pobawić się jeszcze z jej synem, a swoim wnukiem, na dywanie zdobitym gumolitową podłogę jej wyczekiwanego przez lata mieszkania. Aktem skruchy i prośbą o przebaczenie była spłata rat za ciemną meblościankę. Większej okazać nie zdążył. Wystarczyła jednak na nadanie realnego kształtu słowu „dziadek” w głowie kilkulatka. I na kilka łez z tych ciemnych, wciąż pełnych zaciętości, oczu, spływających po policzkach w ślad za jego dębową trumną. Nie wystarczyła, by pomarszczone, stwardniałe i wykrzywione artretyzmem dłonie opuszczonej przed laty wdowy, złożone znacznie dłużej niż mające dla niej specjalne znaczenie *Ojciec nasz*, choć odrobinę rozluźniły swój zacięty uścisk.

Wiele lat później, w tych zgiętych, nieodwołalnie zgiętych palcach, już tylko papierowa chusteczka leży idealnie. Nie wysuwa się. Raz włożona tkwi w gotowości, by w każdej chwili otrzeć łzę zbieranej przez osiem dekad życiowej goryczy albo ustąpić miejsca łyżce wolno, coraz wolniej, mieszającej gorącą, koniecznie gorącą herbatę.

SZUKAŁEM JEJ W CIEMNYM PARKU

Szukałem jej w ciemnym parku. Szukałem, bo czułem, że muszę ją znaleźć. Poczułem nagle. Zbyt nagle dla stojącego na sąsiednim pasie kierowcy szarego sedana. Zbyt szybko dla zalewającego czerwienią swej obecności sygnalizatora. Zbyt zaskakująco dla niechcącej skończyć się bieli długiej cienkiej linii. Zbyt szybko dla dwudziestu sześciu wyprzedzonych samochodów. Żaden z nich nie był jej samochodem.

Nie pamiętam tego momentu. Poczułem, że ktoś siedzi obok mnie. To siedzi obok mnie. Poczucie, uczucie, pewność. Świadomość, że muszę ją znaleźć. Siedziała obok mnie. Na mnie. We mnie. Wszędzie. Ślalomem między myślami, że znów zawróciłem, że nie trzymałem się wytyczonej wcześniej drogi, wjechałem do parku. Ciemnego parku.

Szukałem długo. Po omacku. Park był ciemny. Wjechałem werć z impetem, jak zawsze – w pośpiechu. Zatrzymałem się tam, gdzie

zawsze się zatrzymywała, zatrzymywaliśmy. W tej ciemnej części parkingu. Dziś nie tylko ciemnej, ale i pustej. Prawie pustej. Wysiadłem. Dostrzegłem jej samochód. Stał gdzie indziej niż zwykle. Sprawdziłem. Dwie znane mi czarne litery na białym tle i cztery cyfry: 6524. To jej samochód. Pusty, ciemny samochód.

Rozejrzałem się. Park był ciemny. Jak wtedy, gdy pierwszy raz zanurzaliśmy się w jego mętną otchłań. Jak wtedy, gdy wyczuwając delikatne drżenie, chwyciła mnie za rękę, mówiąc, że zna te zakamarki, że często spaceruje tu sama, że lubi spacerować, że lubi ten park.

Gdzie mam szukać – pytałem w myślach. Jeśli będziesz chciał, to mnie znajdziesz – słyszałem echo jej odpowiedzi. Dziś wyjątkowo mocno wyjące między poruszonymi wiatrem mego strachu gałęziami okalających parking sosen. Wyjących, przechylających się złowieszczo i zasłaniających nikłe latarniane światło ledwo rozpraszające gęstniejącą z każdym oddechem wczesnojesienną mgłę. To dlatego zawróciłem z obranej chwil parę wcześniej drogi. To dlatego wszedłem do parku.

Jego zapach nieco mnie oszołomił. Uderzył. Prawie powalił. Przygniótł. Zapach grzybów, tracącej swą niegdysiejszą świeżość ściółki, gnijących liści i wyschniętych kwiatów. Kwitnących jeszcze kilka dni temu. Zapach przemijania, utraconego czasu, chwil minionych, trwających wtedy – wydawałoby się – wiecznie, niekończących się choć właśnie skończonych. Woń więdnących różanych krzewów jak w dniu, w którym chciała mi pokazać nową ścieżkę. Jak wtedy, gdy ja nagle zawróciłem na utarte szlaki, na główną aleję, a ona poszła dalej. I gdy – zaafektowana brnięciem w nieznane – zorientowała się, że mnie nie ma już przy niej, wołała: Poczekaj, chcę wrócić z tobą. Ale mnie już tam nie było. Byłem zbyt daleko, by usłyszeć. Jej wołanie zagłuszyło wycie poganianego nerwowym przerzucaniem biegów silnika.

I teraz też nie słyszałem jej głosu. Słyszałem echo: Jeśli będziesz chciał, jeśli będziesz chciał... Chciałem! To mnie znajdziesz, to mnie znajdziesz... Jeszcze nie znalazłem. Ale znajdę!

Ruszyłem. Wiedziałem gdzie iść. W ten ogród. Jej ogród. Tam musi być na pewno. Przecież była tam tyle razy. Z kocem, książką, bez pledu, bez książki. Nie było jej. Szukałem dalej w ciemnym parku. Szedłem dość szybko, było chłodno. Inaczej niż wtedy, gdy przyszliśmy tu razem. Ciepło dłoni nie ulatywało tak szybko. Dłoni oplecionej dłonią.

Dziś owinąłem ją szalikiem, zapiąłem guziki płaszcza. Zerkąłem co chwila do tyłu. Jej auto wciąż stało. Nieruchome. Ale jej tam nie było.

Ale była gdzieś w tym parku. Może biegła, może szła powoli, może wypatrywała gwiazd na zachmurzonym niebie. Szukałem jej. W alejach, za zakrętami, na ławce porośniętej dwumetrowymi tatarakami. Wydawało mi się, że siedzi tam pod strzyżonym ostatni raz w tym roku żywopłotem. Podbiegłem. Była pusta, choć jeszcze nie zimna. Siedziała tu. Zbyt krótko. Zbyt wcześnie odeszła. Betonowe meandry rozlewały się przede mną nową czernią. Przestrzenią do sprawdzenia, przeszukania. Wróciłem. Parking wciąż był pusty.

Usłyszałem głosy. Radosne. To nie mógł być jej głos. To nie mógł być jej krok. Zbyt szybki, zbyt radosny. Zatrzymałem się wpatrując w ciemność rozświetlaną nadzieją, w dwa ciemne kształty. Nie jej kształty. Spóźnionych biegaczy stygnącego tempa parku. Ciemnego parku. Ruszyłem w ich stronę. Poczulem przyspieszone oddechy radości wspólnego biegania. Zagłębiłem się w ciemność. Tą ciemność, którą wiosnę tak często rozcinaliśmy. Dziś zbyt ciemną na samotną wędrówkę, zbyt często przerywaną szelestem rozrzuconych liści, deptanych nieznanych stopami gałązek. W parku było ciemno. Zbyt ciemno. Przestraszyłem się i wycofałem. Zawróciłem. Wróciłem na parking. Jej auto wciąż tam było. Nieruchome. Niedotknięte. Wyziębłe.

Jeszcze raz poszedłem do ogrodu, nad mętny staw tylekroć przez nią mijany. Przysiadła nad nim czapla. Nieruchoma, wyprostowana, dumna. Skamieniała jak ona – czekająca na jedno proste słowo odkąd tylko pamiętam. Kamienne czaple są cierpliwe. Nie wszyscy są cierpliwi. Ale i tu jej nie było.

Nie było jej nawet na stacji czekania na to, co nieuniknione. Potknąłem się o rdzę wąskich torów tego, co jeszcze nie przybite pieczętą, ale już przekreślone. Stałem pod drewnianym dachem pierwszych, urywanych pocałunków. Zapaliłem papierosa, którego żar nie oświetlił najciemniejszych zakamarków. Nie dostrzegłem jej, choć może tam była. Poszedłem dalej. Potknąłem się. I zawróciłem przestraszony, że w tej ciemności wpadnę w dół. Taki jak chwilę wcześniej, z którego ledwo się wydostałem. A może wciąż w nim tkwiłem jedną nogą strachu, stopą bólu uwięzioną w porytej krecimi ścieżkami trawie?

Musiała tu być. Jeśli była w parku, musiała tu przyjść – tą myślą oświetlałem strome kamienne stopnie wiodące do drewnianego schro-

nienia stęsknionych, nienasyconych siebie, a jednocześnie przybytku głośnych swą nietrzeźwością włóczyków. Przysiadłem na chwilę, jak ona dni temu kilkanaście, szukająca mnie w parku, gdy się zgubiłem. Usiadła – pisała potem – by pomyśleć. I poczuć jeszcze raz tę radość, której tam tak często doświadczaliśmy. Wspominała. Zapach mojego płaszcza, powiedzonka, wspólnie zjedzony, od dawien dawna niepieczony przez nią, sernik z czekoladą. I nawet ten sam płaszcz grzał moje ramiona, tak lekkie dzisiaj, nieobciążone gładkością jej policzka. Dziś ja wspominałem. I sernik. I wełniany szal, i opuszczony nisko, niziutko sweter. I roześmiane oczy. Ale dziś ich nie widziałem. Widziałem ciemność.

A w ciemności widziałem ją. Ale to nie była ona. Taka skulona mogła być omszała kamienna rzeźba, ale nie ona, choć czasem kulila się widząc nadciągający chłód w moich oczach. Pytałem tej smukłej, nieruchomej kobiety czy przemknął tu choć cień smutku tej czarnej smukłości, której ciepło właśnie tutaj dane mi było poczuć. Ale nie usłyszałem odpowiedzi milczącego kamienia, nieruchomego jak jej spojrzenie wbite niejednego wieczora w szarości mej twarzy w ciemnym parku.

Czas przestępował z minuty na minutę, ale każda z nich, choć tak niewiele ich upłynęło, ciągnęła się jak czerń głównej alei omotanej coraz bardziej październikową mgłą i nasyconej coraz zimniejszym, coraz mniej pachnącym nadzieją, powietrzem.

Była tu – domyślałem się. Zawsze tu przychodziła mijając dumną jak ona czapkę. Przychodziła nie prosząc o czyjąkolwiek obecność. Przyszła i dziś. Nie mówiąc, nie prosząc, nie czekając. Czulem zapach ranionej obcasami darni, porytej właśnie śladami spieszących się ku dziesiątkom pokonywanych każdego dnia kilometrom cieniutkich opon. Znów przeskoczyłem po kamiennych stopniach, znów zajrzałem pod drewniany dach, znów przez sekundę miałem nadzieję, znów w sekundzie straciłem ją na chwilę. Pobiegłem dalej wydychając z kłębami stygnącej w momencie pary resztki pewności, że mogę ją znaleźć. Pewności spowitej niewiedzą co powiem i co usłyszę, gdy ją spotkam. Pobiegłem jeszcze nieraz, zawsze wracając, zawsze w to samo miejsce, zawsze mijając oddzielonych coraz dłuższymi chwilami przesywającej samotności ostatnich fascynatów parku. I mroku w parku.

Nawet pospiesznego echa obcasów nie było już słychać, a chodnik był zbyt twardy i za zimny, by przemycić dla mnie, choć cząstkę ich odbicia. Zagajniki lęków stawały się na mych oczach puszciami strachów. Puszciami do przebycia. Puszciami nieprzebytymi. Karczowanymi mozolnie i zarastającymi błyskawicznie coraz to nowymi myślami, że to niemożliwe, by znaleźć i by utrzymać w dłoni. Niczym odkrywca nowego świata zajrzałem tam, gdzie zaglądaliśmy ostatnio. Zajrzałem sam – i to był nowy świat. Zupełnie inny niż do tej pory, zupełnie inny niż z nią. Zajrzałem wszędzie. I wszystko było nowe. Puste.

Nie zajrzałem do amfiteatru. A może właśnie tam śpiewała swą żalną pieśń, tak jak radośnie nuciła w pewien kwietniowy wieczór dostrzegłszy, poczuwszy umajone łąki splecionych raz pierwszy dłoni. Nie zajrzałem, a mogła tam być. Byliśmy tam razem. Mogła być wszędzie. Wszędzie tam, gdzie byłem i wszędzie tam, gdzie nie było mnie. Nie zajrzałem, pospiesznie wróciłem wzdłuż nieodbijającej dziś żadnych trosk rzeczki. Wracalem. Zdyszany, zapaliłem znów papierosa. Odrzucając niknący równo z nadzieją ogień, spojrzałem w stronę smutnego, ciemnego placu. Przez drzewa mignęły mi dwie postacie. Zniknęły, a ich miejsce zajęły trzy czerwone punkty. Przyspieszyłem. Zaczęłem biec. Wiedziałem, że biegnę zbyt wolno, zbyt późno, zbyt długą trasą.

Shukałem jej w ciemnym parku. Zbyt późno, zbyt wolno. Widziałem tylko zmniejszającą się czerwień tylnych, pozycyjnych świateł jej samochodu. Mniejszą, coraz mniejszą, coraz bardziej rozmazaną. Nie padało.

PRZYSIADŁA NA PODUSZCE

Chłodna poduszka odpychała sen. Wyleżana przez wiele głów, rozgrzewała się zbyt wolno. Każda jej fałda była krzykiem rozpacz, że nie potrafi już nawet wyprostować przygniecionych włosów. Nie tak krętych jak niegdyś, ale wciąż z łagodnie załamaną krzywizną, żywym płomieniem odcinającą się od poszarzałej bieli szorstkiego płótna. Doremna to była walka płótna z czerwonymi łodygami, łamiącymi się coraz częściej.

Kruchość nie była dana im zawsze. Przyszła nieproszona, choć spodziewana. Jakby w odpowiedzi na hartującego się ducha. Nieproszona

i nieakceptowana. Oprotestowana godzinami nerwowych ruchów gałek ocznych szukających w rozmażanej rzeczywistości oparcia na jednym punkcie. A gdy na przecięciu osi obowiązków, marzeń, potrzeb i rzeczywistości jego współrzędne miały swą idealnością, rychło stawał się w tym wielowymiarze tylko kolejnym ekranem, na którym – w zwolnionym tempie – rozbiegane białka odtwarzały raz po raz ten sam film. Z gatunku tych, co widziane wielokrotnie bawią lub wzruszają wciąż tak samo. I tylko żal, że zakończenie takie, a nie inne.

Sił nie dodawała szaruga pół wiosny pół zimy. Siły odejmowała stopniowo słabnąca emocjonalna zadymka trwająca od pierwszego, tej prawie przebrzmiałej już pory roku, śniegu. Nieraz jeszcze przypominała sobie pierwsze chwile zamieci i błyskawicznie ścinające świadomość niczym mróz słowa: nie tędy droga.

Z zamieci – zadymka, z mrozu – przymrozki. Zima tego roku była wyjątkowo długa. I wyjątkowo męcząca. Nadciągnęła niespodziewanie, choć długoterminowe prognozy przestrzegały, że systematyczny spadek temperatury, obserwowany od niejednego tygodnia, słupki termometrów skróci jeszcze bardziej.

Ale takiego pikowania nie spodziewał się nikt. Tym bardziej ona, nieustająco wierząca, że lato nigdy się nie skończy, a tygodnie jesiennej sloty zastąpią od razu dni słonecznego przedwiośnia. Ale nie było przedwiośnia. Nawet późnej jesieni nie było. Tylko zima. Coraz sroższa i coraz bardziej męcząca.

Zasnąć było trudno nie tylko tej mroźnej nocy wyznaczającej połowę lutego. Jednej z czterech spędzanych każdego miesiąca przy chłodnych aparatach przeszywających niedostrzegalnym to, co niewidoczne dla najwnikliwszego spojrzenia. W żadnym punkcie obszernych instrukcji obsługi i licznych certyfikatów potwierdzających przydatność owych urządzeń w przedłużaniu nieokreślonej długości ludzkiego życia, nie znalazło się ostrzeżenie, że chłodu przez nie przekazywanego, nie będzie można przegonić nawet dziesiątkami miesięcy ich obsługi.

Wracał. Raz, dwa, czasem pięciokrotnie każdej nocy. Pojawiał się z każdym, anonсовanym dzwonkiem telefonu wezwaniem, przypięciem do gniotącego się łatwo śnieżnobiałego uniformu chłodnej plakietki wiążącej trzydziestokilkuletni byt Karoliny Wierzyńskiej z pracownią diagnostyki obrazowej wojewódzkiej kliniki.

Przychodził i nie chciał się pożegnać nawet, gdy wspomnienie ostatniego badania zderzało się z miękkością koca wyścielającego szorstkość wersalki. Czerwień jej poszycia traciła swą intensywność znacznie szybciej niż lakierowany nierównym rzędem drukowanych liter inwentarzowy numer szpitalnych ruchomości wyzbywał się swej kompletności.

Może dlatego, że szorstką czerwień tapicerskiego obicia ścierało wiele, zmieniających się co noc, ciał. Wytrzymałość rozkładanej leżanki nierzadko poddawali podwójnej próbie ukrywani goście, niewielką powierzchnię wypoczynkową wypełniający podwójnie i także też ją ścierający, goszczeni znacznie częściej, niż lakierowy ciąg był przecierany przez sprzątaczkę szmatą, pobieżnie kąpaną w środku dezynfekującym.

Sposobów na skrócenie dłużących się nocnych dyżurów było wiele. Również poprzez personalny nadkomplet. Karolina nigdy nie zechciała skracać go właśnie w ten sposób. Szła utartą drogą przerzucania kanałów w niewielkim telewizorze, sumowania osobistych wydatków w niewielkim kajecie, nadrabianiem braków w lekturze zbyt wolno czytanych książek i błyskawicznemu reagowaniu na wezwania z nawet najbardziej oddalonych od dyżurki oddziałów.

Ta noc, w połowie najmocniejszej od wielu lat zimy, różniła się od innych jedynie zawartością przyniesionych w płóciennym siatce pojemników z jedzeniem. Była im bliźniacza nawet smakiem owocowej herbaty, nie okraszanej od wielu lat nawet ziarenkiem cukru. Jej podobieństwo wyrażało się nawet rozmazaniem liter gdzieś pomiędzy trzecią a czwartą stronicą przechowywanej w przepastnej torebce na takie właśnie chwile książki.

Mgła nieostrości czaiła się gdzieś między szóstym a siódmym akapitem. Na przełomie stronic białym mlekiem zalala litery. Przyciemniona niezbyt mocną żarówką rzeczywistość zaczęła nabierać kolorów pod powiekami. Opadły lekko a kształt krzesła niepostrzeżenie zamienił się w męskie ramiona. Te tak dobrze znane, choć dziś odleglejsze niż Antypody.

Trwała w nich za krótko, by uwierzyć w ich realność i zbyt długo, by zapomnieć nierzeczywistość tych znanych. Z tych pierwszych wyrwał ją dźwięk telefonu. Jeszcze jedno muśnięcie ust, kolejne i jeszcze jeden... dźwięk dzwonka... nim brak tego ciepła na wargach boleśnie uprzytomnił, że wbijający się w głowę dźwięk, to wezwanie.

Miedzy jednym ziewnięciem a drugim wyzwoliła się z ciepłych objęć koca. Marznące ramiona okryła bielutką bluzą – kompletem z pogniecionymi po niezbyt długiej drzemce spodniami. Stopy odziała chodakami, a mijając zawieszone przy drzwiach lustro przeczesala zdrewniałą dłonią niesfornie wyrrywające się zza ucha kosmyki włosów. Trzask zamykanych drzwi zsynchronizował się z wibracją zapomnianego w kieszeni fartucha telefonu. Sekundy nadziei odeszły w niebyt dzięki rozspanemu spojrzeniu na zamazany nieco wyświetlacz. Nie ten nadawca. Nie te słowa.

Jeszcze w windzie wdrapującej się na kolejne piętra w niezbyt wyrubowanym czasie sześciu sekund na każdą kondygnację, skrzywiła się raz i drugi na myśl o przerwany śnie. Objąwszy ramię ramieniem, zacisnęła palce na łokciach, a wściekłość zacisnęła pięści na jej myślach. Uścisk rozerwało dopiero nerwowe pokrzykiwanie pielęgniarek.

– Szybciej! Igły! Gdzie wyniki? – mówiły jedna przez drugą, równie rozespiane siostry.

Złość ustąpiła mechanicznemu włączaniu aparatu. Niewielkiego, ustawionego w kącie pokoju zabiegowego oddziału intensywnej opieki medycznej, ale jakże przydatnemu w łżejszych i cięższych przypadkach goszczonych na tym piętrze kilkanaście razy w ciągu każdej doby. Częściej nawet nocą niż dniem, jakby właśnie w tej dającej wytchnienie ciemności, łatwiej było oświetlić drogę z której – dla wielu gości tego pokoju – nie było już powrotu.

Zwycięstw w tej walce było więcej niż porażek. Choć zdarzały się dni i tygodnie, gdy śmiertelność oddziału grubszą linią rysowała się w szpitalnych statystykach. Nieważne – zimą, czy latem, wiosną czy jesienią – któregoś dnia zaczynało się i trwało przez jakiś czas. Po prostu, śmierć składała niezapowiedzianą wizytę i rozsiadała się na szpitalnych łózkach na dłużej niż zwykle. Zwykle – wpadała na chwilę, na krótko. Chwytała wątłą, osłabioną długim życie dłoń, i równie niezauważalnie biegła gdzieś innej. I tam, gdzie jej od dłuższego czasu wyczekiwano, i tam, gdzie nie spodziewano się jej wcale. Niezapowiedziane wizyty to jej specjalność.

Akurat tę anonsowała z bardzo długim wyprzedzeniem. Wiele razy, w czasie tych swoich szpitalnych eskapad i rutynowych, miejskich tourów, już prawie pukala do jej drzwi. Zawsze jednak cofała dłoń,

odkładając ten kilkuminutowy obowiązek, na bliżej nieokreśloną przyszłość, dając zawsze nieco czasu – miesiąc, rok, dwadzieścia lat, by doczekać.

Leżąc na środku sali kobieta czekała właściwie od pierwszego dnia, gdy – nie rozumiejąc nic – obserwowała domykające się szybko drzwi wejściowe do trzypokojowego mieszkania. Trzask stykającej się równiny drzwi z krzywizną futryny utrwalił się na rolce jej wspomnień na tyle mocno, że obraz obitych wypłowiałym, brązowym skajem drzwi materializował się przed jej oczyma każdej burzy. Najdalszy grzmot, nie mówiąc o tych prawie nad samą głową, ponownie zamykał te drzwi w jej pamięci, choć drzwi za tym wspomnieniem zamknąć się nie potrafiły.

Wspomnienie, w przeciwieństwie do przyniesionego z burzą deszczu, nie orzeźwiało gęstego powietrza jej myśli. Wręcz przeciwnie – kłębiły się one jeszcze bardziej. Burzowy front życiowych reminiscencji wyciskał tylko lzy, a one ulgi nie przynosiły, bo przynieść nie mogły. Nie miały uzdrawiającej siły, nie niosły ze sobą zniszczenia. Nie dawały nic oprócz szybko wysychającego dowodu, że w tym słabnącym coraz bardziej ciele oprócz coraz rzadszej konsystencji tkanek i coraz większej niszczyielskiej siły niewiadomego pochodzenia, jest jeszcze cząstka, trudno dostrzegalna komórka, bezpłciowego człowieczeństwa sprowadzonego już tylko do coraz podlegszej egzystencji.

Drzwi zatrasnęły się za pielęgowanym i plecionym przez nią ciemnym warkoczem. Za prawie wiernym, choć młodszym o 27 lat, żywym odbiciem. Za nieudaną próbą uczynienia innego życia lepszym niż jej. Za daremnym wysiłkiem ustrzeżenia przed popełnieniem tych samych błędów. Za nadspodziewanie trwałym zerwaniem biologiczno-rodzicielskiego łańcucha.

Swego jedyne dziecko nie widziała właśnie od tego za gwałtownego zetknięcia się drewnianego cielska i metalowej smukłości futryny. Nie usłyszała od niej już ani słowa, nie przeczytała ani jednego skreślonego przez nią wyrazu. Słyszała, że wyjechała na drugi koniec kraju. Dowiedziała się, że wyszła za męża, rozwiodła się, a potem jeszcze raz stanęła na – tym razem już cywilnym – kobiercu. Domyślała się tylko, że jest babcią. Kilka razy zdawało się jej, że w pomarańczowej łunie gorejących coraz słabiej zaduszkowych zniczy, widziała chybotający na prawo i lewo, pospiesznie wymykający się ze wspominają-

cego tłumu, warkocz. Zapleciony równie ciasno jak niegdyś i równie mocno jak tężejąca przez te lata, sycona niezrozumieniem, złość.

Początek listopada był jedyną możliwością na zetknięcie się, bo ołączeniu już chyba nie mogło być mowy, dwóch końców dawno zerwanej nici. Na stojący na odrapanej komódce równie sfatygowany aparat telefoniczny patrzyła dość często. Numeru młodej nie знаła. Nie zamieniły przecież słowa od tej ostatniej kłótni. W końcu zrezygnowała z utrzymywania numeru, tak jak z opłacania kabłówki. Rachunki rosły szybciej niż emerytura. Zamieniła mieszkanie na mniejsze, w innej dzielnicy. Sąsiadki znały jej adres, ale nikt o niego nie pytał. Jej kurczący się z roku na rok dobytek przewieźli mili pracownicy firmy organizującej przeprowadzki, wynajęci przez nowych lokatorów jej byłego już, trzypokojowego mieszkania. Nie żał jej było opuszczających tych dobrze znanych kątów, ale na radość towarzyszącą ich przeprowadzce nie umiała patrzeć. Nowych domowników odnowionych ścian o jej nowy adres również nikt nie zapytał.

Tam też rzadko kto zaglądał. Najczęściej listonosz z ponagleniem do zapłaty za prąd i gaz. Albo brudna staruszka prosząca o kromkę chleba. Czasem sąsiadka pytająca, czy dorzuci się do wieńca na pogrzeb Jana z czwartego, Marii z siódmego, tego pijaka z parteru, co to rentę w ciągu trzech dni potrafi przepić a potem już tylko, do końca miesiąca, wyciąga rękę do przechodzących obok monopolowego.

To właśnie ona, zbierająca na mszę za duszę zmarłej Krystyny z naprzeciwka w pierwszą rocznicę jej śmierci, zaniepokojona, że zawsze uchylająca drzwi już po pierwszym dzwonku, nie otwiera ich nawet po dziesiątym, wezwała policję, a ta pogotowie. Ci zaś zarządzili szybki transport na oddział intensywnej opieki medycznej, a tam zdiagnozowano rozległy wylew i kilka przechodzonych udarów.

Na oddział trafiła na noszach. Ratownicy mieli pewien problem, bo leżąca przy odrapanej komódce i nieprzytomna kurczowo ścisnęła równie odrapany aparat telefoniczny. W końcu zdecydowano o zabraniu jej razem z nim. Sprawa była o tyle łatwiejsza, że nie był podłączony do sieci. Teraz stał w kącie zabiegowego pokoju równie milczący jak przez ostatnie lata.

Milczała również leżąca na łóżku stara kobieta. Chciała mówić, krzyczeć, ale sparaliżowana twarz nie była skłonna do choć jednego skurczu ułatwiającego wyartykułowanie jak najcichszego dźwięku.

Cichszego o wiele bardziej niż upadający z białej szafki odrapany telefon. Cichszego nawet od tego zauważalnego tylko dla leżącej, chłodnego powiewu.

Im bardziej krzątające się pielęgniarki zaklinały się, że nie trąciły nawet niedopiętą połą fartucha ani szafki, ani aparatu, zdziwione jego upadkiem, tym bardziej ona czuła pogłębiające się wgniecenie poduszki tuż obok swej głowy. Im bardziej usiłowała spojrzeć w tę stronę, tym bardziej czuła chłód szpitalnej, wykrochmalonej pościeli. I co raz mocniej zaciskała swą przeźroczystą i wątlą dłoń w tej ciepłej, ledwo odjętej od prześwietlającego prawie nieruchome ciało aparatu. Równie silny jak uścisk był krzyk błagalnego spojrzenia, by ta ciepła, młoda dłoń okazała litość i była sekundantem ostatnich chwil dłoni chłodniejszej.

– Wszystko będzie dobrze – szeptała Karolina. – Wszystko będzie dobrze.

Ale nie było. Nie tym razem. To koniec drogi i koniec czekania. I umierająca o tym wiedziała. Latami modliła się, by ta chwila spadła na nią jak najszybciej. Prosiła i o to, by w tych ostatnich minutach jej wykrzywione artretyzmem palce mogły ucześcić się wciąż pamiętanego kciuka dawno pożegnanej córki i ześlizgnąć się po pobielających ze złości knykciach. Ale akurat ta prośba, w gorącej litanii próśb mniejszych i większych, nie dotarła do wszystkowiedzącego adresata.

Pomarszczona dłoń parowała życiem. Szybciej niż jeszcze kilka uścisków wcześniej. Palce też już nie walczyły, ich biel stapała się z bielą szpitalnej pościeli. Szare, zmęczone tęczówki nie zdążyły wykrzyczeć wdzięczności za tę walkę obcej dłoni o jeszcze kilka oddechów i jeszcze jedną szansę na wyczekiwane od lat spotkanie, gdy chłód stygnącego, zmęczonego życiem ciała wyglądał wgniecenie poduszki.

Karolinę z letargu wyrwał długi dźwięk kardiologicznego monitora, swym nieprzerwaniem, jak dzwon kościelny, ogłaszający kres. Wyjątkowość chwili przekreśliło nerwowe pobrząkiwanie schowanego w kieszonce na piersi telefonu. Sięgnąwszy po rozhisteryzowany wibracjami przedmiot, widząc wyświetlone „Tomasz”, jednym przyciskiem przesunęła tę – być może znowu przykrą – rozmowę na coraz późniejszą przyszłość.

– Rozległy zawał mózgu w obszarze tętnicy środkowej – monotonny lekarski alt w tej ciszy przywrócił ją do teraźniejszości. Wciąż

kurczowo trzymała wyraźnie chłodniejszą, choć niestarzejącą się już dłoń.

– Dobranoc. Odpoczywaj w pokoju – wyszeptała odsuwając ją w pościelową białosć.

Nie знаła zakrętów linii zakończzonego przed chwilą życia. Z przywieszzonej obok łóżka karty dowiedziała się, że biegła długie osiem dekad, choć – jak wynikało z łacińskich kulfonów – mogła być krótsza o sześć miesięcy, cztery lata lub nawet dwie dekady. Nie знаła rysów jej tężejącej twarzy. Choć przypominały jej kogoś.

Nerwowy telefon znów przypomniał o sobie. Tym razem nie przeogła rozmówcy. Nie od razu.

– Nie mogę rozmawiać. Nie mam ochoty. Nie teraz. Nie z tobą – wycedziła przez zaciśnięte zęby w nasłuchujące z daleka ucho Tomasz. Z takąż zawziętością wrzuciła komórkę do kieszeni, a znaczenie tej banalnej czynności podkreśliło błyskawiczne opuszczenie ramion i zetknięcie podbródka z niecałowanym od dawna mostkiem.

Powrót do dyżurki nie był długi acz trudny, głównie przez problem ze znalezieniem odpowiedniego klucza do zatrzaśniętych drzwi i z zsynchronizowaniem drżących rąk z nieporuszonym cichymi przekleństwami zamkiem. Położyła się, ale nie umiała zasnąć. Wtuliła twarz w poduszkę.

Poduszki mają to do siebie, że są zimne albo ciepłe. Miękkie albo twarde. Ta na której położyła głowę była twarda. Twarda i zimna. Osierocona. Niegdyś bywała ciepła, ale dziś nie parzyła, nie grzała.

I tylko jej chłód uświadamiał jakie to szczęście, że śmierć wybrała akurat tę spowitą w białą, szpitalną pościel. A mogła przecież przysiąc pod zupełnie innym dachem. Jednym z tych pieczołowicie pokrytym dachówką rodzinnego ciepła. I zajrzawszy tam wybrać akurat jedną z dwóch leżących tam poduch, ciepłych jeszcze, choć obleczonych w chłodzącą satynę. Wygrzewanych każdego dnia o sekundy, minuty dłużej niż jeszcze wczoraj, przedwczoraj.

Mogła usiąść tam na chwilę albo rozgościć się na dłużej. Zająć swym niechcianym towarzystwem tych zajętych doliczaniem każdego kolejnego dnia do tysięcy pożegnanych już wieczorną modlitwą dni. Mogła nieodwracalnie pozbawić ciepła tę wytartą koldrę i uczynić bezużyteczną jedną z duetu poduszek. Mogła poszerzyć nocną przestrzeń małżeńskiego łóża z obdartą w czasie montażu listwą. Ale mogła rów-

niez spustoszyć niedzielne poranki – rozpoczynane śniadaniem, porannym goleniem i czesaniem, czyszczeniem damskich czólenek i męskich oksfordów, wieńczonych okraszoną ciastkiem kawą z mlekiem, tuż po powrocie z pobliskiego kościoła.

Mogła usiąść na jednej z dwóch poduszek. Mogła gnieść obydwie. Mogła spocząć, tak jak na tej poszarzałej w szpitalu i tarmosić delikatnie za rękaw piżamy, obserwując tężącą rozpacz towarzyszy miliarda życiowych chwil i momentów godnych pamięci.

Poduszka Karoliny rozgrzewała się wolno zajmując rudymi płomieniami poskręcanych włosów. Telefon warczał na stole. A ona zasypiała myśląc jakie to szczęście, że tej nocy śmierć znów przysiadła na innej poduszce.

LESZEK CARNUTH
godło: „Park”

III nagroda w dziedzinie prozy



LESZEK CARNUTH – ma 40 lat. Pochodzi ze Starogardu Gdańskiego. W młodości pisywał m.in. w „Akcencie”. Jest autorem opublikowanej w wydawnictwie internetowym powieści „Wierność zdrady”. W roku 2013 otrzymał I nagrodę w kategorii prozy w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Zdzisława Morawskiego w Gorzowie Wielkopolskim za opowiadanie „Madonna z Kocborowa”.

ZACIER

Kwiaty Mrozu. To miało czas w urodziny Babki. Styczeń: mróz. Nie mogłem się doczekać wieczoru – Bożenka! Bożenka też miała przyjść! Mieszanina lęku z nadzieją. Ten mały chłopiec dosłownie z wszystkiego sklecał mity. Jeszcze bardzo niezdarnie; nie rozumiejąc podstawowych zasad konieczności wyborów mniejszego zła (życia). Otulony kokonem opieki dorosłych, do tego stopnia, że jedyny pewny łącznik z realnym światem – ten strach, dzięki któremu wiem, iż ta puciołowata buzia z fotografii czasów dzieciństwa, to ja. Choć taka między nami otchłań. Zagubiony cielak, zagubiony w marzeniach o złotowłosych aniołkach. Zagubiony, gdyż czujący niejako przez skórę słabizną swego świata rojeń przed zaśnięciem. Bo Babka nie znosiła mamy Bożenki, która była najlepszą przyjaciółką mej matki.

Dorośli, czyli trzy kobiety z czasów dzieciństwa. Każda zupełnie inna. Babkę nazywali w swoim czasie chłopczycą, bo potrafiła pobić niejednego chłopca w podobnym wieku i nie bała się skakać po płotach. Wysoka, a także mocno zbudowana. Nigdy nie zapomnę, jak sprawnie radziła sobie ze szczepaniem ciężkich okrągłaków na opał. Należąca jeszcze do ludzi, którzy wyraźnie wiedzą czego chcą i tym samym, nie unikają walki. Jako jedyny wnuk byłem jej oczkiem w głowie, ale nawet mnie dotknęła kilka razy ciężka ręka furii socjalistycznej przodownicy pracy. W głowie zagnieździł się lęk, którego nie mogły znieść całe godziny pieśszczot. Wiedziałem, że u niej wszystko ma swoje wyraźne granice, które gaszą wszelkie rojenia. Że trzeba się pilnować, bo są sprawy nie dające się przebłagać. Jaki marzyciel lubi ograniczenia?

Z mamą sytuacja przedstawiała się zupełnie odmiennie. Śliczna jak z obrazka, więc będąca niejako z urodzenia ponad normalnym życiem. Wyjątkowa, z Babki miała tylko wzrost. Wrażliwa i dość inteligentna, a jednak przykuta do egzystencji ubogiej robotnicy. To rozdarcie dziś

symbolizują mi jej oczy – niesamowite, bo intensywnie niebieskie, lecz okaleczone brunatnymi punktami szarej rzeczywistości. Wręcz nieludzko sprzeczne, aż do fizycznego bólu. Nie do zapomnienia. Nie rozumieliśmy się: nie chciała oglądać bajek i filmów przygodowych o schematycznej fabule. Nie lubiła także chodzić po lasach – u niej wszystko musiało być skomplikowane i wytworne. Na początku lepiej dogadywałem się z Babką, ale Lepszy Świat mej rodzicielki, która z natury ciążyła do zupełnego błękitu, już zaczynał podnosić kurtynę. Papierowe atrapy narastały w oczach dziecka do wagi najwyższej prawdy. Bo z daleka wszystko wygląda piękniej – dlatego publiczność nie powinna wchodzić na scenę.

Nie umiem dokładnie określić, jak bezbronny cielaczek, który z otwartymi ustami chłonał opowieści Babki o dawnych bogaczach, różokrzyżowcach, esesmanach i innych dziwnych istotach o nadzwyczajnej mocy, został zakutym w zimną stal cynizmu Rycerzem Zakonu Najświętszej. Zaczęło się chyba przez te przeklęte kwiatki na szybach. Mrozu, czyli zimna, cierpienia i śmierci. Ciągnąłem Bożenkę na sankach wokół mego podwórka, w szybkim mroku zimowego wieczoru. Gdyby nie kule światła z żarówek nad wejściami do poszczególnych mieszkań, to pewnie w ogóle by niczego nie dostrzegła. Byłem już okropnie zmęczony, z trudem chwytalem powietrze. I jeszcze bardziej szczęśliwy, bo moja pierwsza namiętność, widziała, że dla niej gotów jestem zamęczyć się na śmierć. Ale prawdziwy mrok możliwy jest wyłącznie w grobie, a ja wówczas nawet nie wierzyłem w jakąkolwiek ostateczność. Młodzi w zasadzie chętnie umierają, z tego względu potrzebni są dorośli, dla podtrzymania życia. Pojazd mej jasnej królowej utknął we wnęce między budynkami, czymś w rodzaju ślepego zaułku. Musiałem choć chwilę odpocząć. Wystarczyło, aby zaczęła się bacznie rozglądać. Pochodziła z innej części miasta. W domu były kaloryfery, które z mrozu uczyniły rodzaj sezonowej atrakcji. W jej dzielnicy nie dobijał najsłabszych. Lepszy świat... Jednak w domu Babki, zwłaszcza rano, kiedy wystygł kaflowy piec, odczuwało się wciąż grozę zimy.

Kiedy je zobaczyła, mój wysiłek stracił wszelką wartość. Podeszła jak zauroczona do okien mieszkania samotnego, starego pijaka, z którego szczydziły okrutnie małe dzieci mego podwórka. Nawet ja... Dorośli mijali to cuchnące indywiduum w zupełnym milczeniu – stracił dla nich wszelką wartość. Przepił wszystko co miał, nie wyłączając węgla

na zimę. Teraz pewnie leżał nieprzytomny w lodowatym chłodzie, bo jego okna w całości zarosły kwieciami cierpienia. Tu niepotrzebne już były zasłony, czy firanki... Mróz malował tak, że on nie widział ludzi stojących pod samym oknem, a oni też dostrzegali tylko niezrozumiałe bohomy. Ale dla Bożenki było to coś wyjątkowego, podziwiała je pierwszy raz w całej okazałości. W znikomym świetle żarówek, które dodawało im tajemniczości i piękna. Skrzyły się... z obojętnością budzącą w mym małym sercu grozę. Tym większą, że niezrozumiałą. Piękna nie sposób zrozumieć...

Ale stary człowiek wciąż jeszcze żył. Bo Babka mówiła, że to powstaje z zetknięcia ciepła ludzkiego oddechu z mrozem panującym poza mieszkaniem. Na szybie, która łączy świat życia i świat śmierci. Gdy ten drugi wnika powoli w pierwszy. Powoli, gdyż zamrożony trup nie stworzy zupełnie nic. W opuszczonych mieszkaniach, na ich oknach, nie zobaczycie kwiatów piękna nawet w największe mrozy. Podobnie w tych dobrze ogrzanych. – To istnieje tylko pomiędzy. W bardzo powolnym umieraniu.

Otrząsnąłem się. Spojrzałem na Bożenkę z innej strony. Byłem dla niej gotów umrzeć. Naprawdę! Ale nie w taki sposób...

* * *

Pocałunki, a właściwie ich ścieranie. Od czasu kiedy zacząłem samodzielnie myśleć, zaczął wzrastać też strach. Im więcej rozumiałem z otaczającego świata, tym bardziej się go bałem. Zło, czyli ból, mogło pojawić się zupełnie nieoczekiwanie. Zwłaszcza jeśli poniesieni radością zapomnieliśmy o granicach. – Mama widząc me zagubienie graniczące chyba z autyzmem, kupowała mi kolorowanki. Chyba dla poskromienia zbyt wielkiego entuzjazmu, dla nauczenia szacunku dla granic. Były to proste ryciny, którym należało kredkami nadać określony kolor. Tak bardzo chciałem przypodobać się mamie, że gryzdałem ze wszystkich sił. W efekcie zawsze przekraczałem zarys danej figury lub łamałem kredki – w przeciwieństwie do Bożenki, umiejącej zawsze zachować się jak należy. Jedynym wyjściem był więc Zakon, czyli unikanie jakichkolwiek ostrych krawędzi życia. Albo życiorys łajdaka lub zbrodniarza. Myślę, że dziś umiałbym już przyzwoicie kolorować obrazki, jednak siwe włosy na głowie jakoś nie pasują do dzieciennych

książeczek. Trudno... Niestety dopiero po wielu latach więzienia pojąłem, że to do mnie należy obowiązek wytyczania linii granicznych życia. Za ten nieludzki entuzjazm, ale czasem jeszcze teraz chwyta ochota na ślicznie wypełnione kształty. Do ostatniej kropli. Do normalnego życia. Za kawałek Boga w sobie.

Musiały ze mną spać. Zwykle mama, albo Babka. Jak miała nocną zmianę. Ponieważ Bóg nie znosi samotności. Dlatego właśnie stworzył człowieka. Inaczej wszędzie lęgłyby się samorzutnie demony. Za szafą, w załamaniach zasłon, pod łóżkiem. Ograniczały mą gigantyczną wyobraźnię, która nie zawsze pracowała w dobrą stronę. Wtulony w matkę mogłem spokojnie zasnąć. Ale wcześniej trzeba było znieść pocałunek na dobranoc, jego ohydną wilgoć. Ludzie z bliska są bardzo wilgotni... ci najbliżsi także! A im staranniej ścierasz ślady ich śliny, tym bardziej domagają się pocałunków. – Miały ze mną niezły ubaw, w szczególności Babka. Pod każdym pretekstem domagała się całowania. Urodziny, prezenty na gwiazdkę i w ogóle każda rodzinna uroczystość. Najwięcej uciechy dawało jej przyłapanie na starannym ścieraniu.

Mapa strachów. Znajdowała się na suficie pokoju, w którym spałem i żyłem. Jego pęknięcia i nierówności pozwalały tworzyć różnego rodzaju postacie. Najczęściej drapieżnych zwierząt, dziwnych istot. Rano bawiłem się nimi jak zabawkami, zaraz po przebudzeniu. Ale wieczorem... wieczorem wołałem na nie nie patrzeć...

* * *

Piłka nożna. Na początku graliśmy na sposób pierwotnej hordy. Wszyscy razem. Jednak ja byłem tak bardzo słabym aktorem, że nadawałem się wyłącznie do totalnej destrukcji. Od razu nakazali iść na bramkę, wystarczyło kilka nieudanych podań czy też kompromitujących strat... Nie pamiętam, bo praktycznie przez wszystkie szkoły musiałem bronić, od samego początku. Później, już z własnej woli, pogodzony z losem. Fakt... ponieważ miałem tam święty spokój. Mogłem kontemplować grę albo przebieg obłoków na niebie. Powolny upadek liścia, który zerwał wiatr – jego powietrzne akrobacje. Ludzi w rolach kibiców lub mrówki kręcące się przy słupku. Bramkarska wolność... z samotności.

Jak będzie go coś obchodziło, to sam się nauczy! Dla Babki szkoła należała do instytucji bezsensownych i zupełnie szkodliwych. Po prostu posiadała świadomość, że rzeczy najważniejszych człowiek musi nauczyć się w samotności. Ludzi i zasad gry między nimi... Nie skończyła żadnej pełnej edukacji. Liznęła tylko parę klas szkoły polskiej, później niemieckiej (w czasie okupacji). No i wszystko. Poprawnie pisać nie potrafiła w jakimkolwiek języku, w domu posługiwała się kociewską gwarą naszpikowaną niemieckimi zwrotami. Ale Mama ukończyła już przepisowe osiem klas. I co gorsza, dosłownie nigdy nie robiła błędów ortograficznych w niezwykle skomplikowanej polskiej pisowni. Starła się mówić literacką polszczyzną. Była z tego powodu bardzo dumna... A więc też bardzo bolała nad nieudolnością syna, którego szkoła zaliczyła do kategorii najsłabszych uczniów. Kazali uczęszczać na zajęcia wyrównawcze, które traktowałem jako dodatkową karę, karę nie wiadomo za co. Sytuację ratowała trochę Bożena, której nakazano siedzieć ze mną w ławce i stale czuwać nad dziwologiem. Mocny holownik kierujący bezradnym w porcie kolo-sem... Kolosem, który bujał ustawicznie na oceanach marzeń. Bez jej miłego dla serca towarzystwa, najprawdopodobniej w ogóle nie wysiedziałbym na lekcjach, z których właściwie nic nie rozumiałem. Bo pani przedstawiała różne szczegóły, lecz nie objaśniała, do czego to wszystko ma służyć. Obłędna nuda... Traktowałem blondynkę jak swoją własność. Byłem zadowolony z odznaczenia, które nosiła na piersi – wzorowy uczeń.

Niszczycielska moc. Czy to pod wpływem dorosłych, czy oglądanych w telewizji transmisji meczy piłkarskich, chłopcy z klasy podzielili się na kasty: najlepsi zostali napastnikami, średni mieli pomagać w budowaniu akcji, a najsłabsi bronić tyły. Podział ten nie pokrywał się zupełnie z hierarchią przed tablicą. Ale trafili się tacy, którzy byli równie dobrzy w klasie, jak na boisku. – To zabawne, że ci którzy nie mieszczą się początkowo w zamkniętych granicach, później najlepiej ich bronią. Najlepsi policjanci rekrutują się zwykle z byłych złodziei... Linia bramki, była to pierwsza linia, którą umiałem utrzymać lepiej od innych.

W miarę jak przestawałem być Bogiem dla samego siebie, małe bóstwo zaczęło poszukiwać prawdy. Rozpoczął się gigantyczny załadunek, bez składu i ładu.

Niszczyciel nigdy nie będzie figurował na liście strzelców goli. Pomimo tego zaczął mnie powoli otaczać szacunek. Okazałem się bowiem rzeczywistym wnukiem mojej Babki. Piłka w pobliżu kreski bramki przeistaczała się w coś zupełnie innego... zaczynałem działać na zasadzie dobrze wytresowanego zwierzęcia. Z szybkością i determinacją cechującą drapieżne bestie. Wychodź! – z czasem już nie potrzebowałem tej komendy. Sam zacząłem atakować napastników przeciwnej drużyny, z poświęceniem. Siniaki, uderzenia piłką w twarz lub genitalia, zderzenia ze słupkiem, a czasem pospolite mordobicia z tymi, którzy nie potrafili pogodzić się z niemożnością strzelenia gola. Zacząłem uchodzić za najlepszego bramkarza ze wszystkich klas, pokonanie mnie uważano za nie byle jaki wyczyn – ale czułem się w tym wszystkim jak najemnik. Niewiele interesowało czyją bramkę chronię, bo i tak nie mogłem strzelać goli. Nie dostrzegałem, że sprawne niszczenie jest więcej warte, niż budowanie lichych akcji.

Przypadek Kołka. Ten chłopiec niewiele się ode mnie różnił. Nieśmiały i zagubiony w nowym środowisku, razem chodziliśmy na zajęcia wyrównawcze. Na boisku przydzielono go do niecieszącej się zbyt wielką estymą formacji obrońców. Ale on próbował na siłę iść do przodu, choć zwykle wszystko partaczył. Obelgi i upomnienia ze strony przywódców spowodowały, że na ogół kręcił się bez sensu blisko mej bramki, utrudniając destrukcję akcji wrogiej drużyny. Po prostu spacerował zamiast grać. Nawet nie udawał, iż cokolwiek go tu jeszcze interesuje..., znowu na niego krzyczeli. W końcu zaistniał w sposób nader oryginalny: kiedy przypadkiem piłka trafiła na niego, poprowadził ją ochoczo w moją stronę. Stałem zupełnie rozluźniony, był przecież obrońcą naszej drużyny. Myślałem – pewnie chce mi podać, abym wykopał porządnie do przodu. Jednak strzelił mocno, przy samym słupku. Nie złapałem. Wówczas nastąpiła ogólna konsternacja, a kiedy przeciwnicy zaczęli fetować zdobycie bramki, przywódcy przewrócili zdrajcę na ziemię, okopali bez litości i opluli.

Nawet mi Kołek wydawał się pełnym draniem... Nie wyobrażałem sobie, że dzięki szkole zacznę zachowywać się bardzo podobnie, poza boiskiem.

Mama pozwalała na wszystko, lecz to Babka miała zawsze mnóstwo pieniędzy. Właściwie pracowała na okrągło. Po powrocie z normalnej pracy, gdzie zarabiała jako szwaczka, jadła obiad i kładła się

na godzinę lub dwie spać. Potem zaczynała swą prawdziwą pracę do późnego wieczora. Przeważnie robiła na drutach lub na specjalnej maszynie do dziergania, swetry dla ludzi. Albo piękne, skomplikowane serwety na stoły, szydełkiem. W każdym razie zawsze coś dłubała. Nawet oglądając ze mną telewizję. To dzięki niej chodziłem w najdroższych ubraniach i nigdy nie brakowało pieniędzy na lody dla Bożenki. Wnuczki dostawały ochłapy, główna część szła dla królewicza (słowo to wypowiadała po niemiecku). W dawnym świecie liczyli się tylko chłopcy... chłopcy zdobywający dla Europy świat. Zakrwawione garście pełne złota.

Mapy światów. Czytanie zawsze było czynnością wymagającą sporo wysiłku... A zatem zacząłem od atlasów i najróżniejszych map. Najbardziej przypadły do gustu historyczne, to dzięki nim odkryłem, że granice nie są czymś niezmiennym. Ta sama część świata, będąca wcześniej zupełnie białą, zmieniała kolor na zupełnie ciemny, wręcz czarny. Czas... A jednak pomimo upływu mnóstwa lat wypełnionych hektolitrami najgorszych alkoholi, które mozolnie wytrawiały zakutą głowę – do dziś pamiętam obrys każdego państwa, istniejącego w historii ludzkości. Coś jednak pozostaje!

Przeszłość Babki otaczał mrok milczenia. Żadne z jej wielu dzieci nie wspominało swego ojca, który pochodził z dobrze sytuowanej, mieszczańskiej rodziny. Słyszałem nawet, że jego przodkowie posiadali na rynku małą, lecz nowoczesną drukarnię, którą zagarnęła władza socjalistyczna. Sam był z zawodu zecerem, ale więcej zajmował się handlem złotem i dolarami. Chyba na dużą skalę, bo w końcu komuniści też go zgarnęli, do więzienia – w jej obecności. Matka mówiła o nim z zapiekłą nienawiścią, nasuwającą dziś pewne podejrzenia, co do relacji z najstarszą córką.

Nigdy nie chodziła na grób męża ani w ogóle do kościoła. Matka twierdziła z przekąsem, że ma na sumieniu grzechy, których nie odpuściłby żaden ksiądz. Ela – takie imię nosiło najmłodsze z jej dzieci. Mała i delikatna, zupełnie inna od całej reszty. Obrotna, a co za tym idzie, nastawiona pozytywnie do ludzi. Bo pozostali mieli jedną, wspólną cechę – jakby porażeni nieuleczalnym, celtyckim ponuractwem, i tym samym znajdujący prawdziwą satysfakcję jedynie we mgle alkoholowych baśni. W upajaniu się nostalgią i smutkiem. Wygnańcy, których dopiero śmierć przywróci na łono ojczyzny. Ela, jako najmłod-

sza, mieszkała ze mną dopóki nie wyszła za mąż. To właśnie ona otworzyła okno na nowy świat.

Piekło jest tutaj! A księża to diabły! – Babka wypowiadała te słowa z tak wielką wiarą... z pewnością graniczącą z obłądłem, że jeszcze dziś przechodzą ciarki po grzbiecie.

* * *

Latawiec skrzynekowy. Studiowanie map nieba stanowiło w dzieciństwie ulubioną rozrywkę. Leżałem sobie na górze (łące za podwórzem, otoczonej chlewkami) wśród soczystej trawy i spoglądałem w górę na podświetlone słońcem obłoki. Tutaj wszystko było możliwe... chmury przesuwaly się raczej powoli, lecz kiedy zamknęło się na jakiś czas oczy, później widziało się już zupełnie coś innego. Tak samo jak z zegarem. Słoń przepoczwarzał się mozolnie w zającą, jedno rosło do rozmiaru przesłaniającego cały błękit, inne znikło pozornie bez śladu. Powstały trwałe związki, które wiatr rozbijał na drobne kawałeczki. Albo odwrotnie...

Spokój zapewniały sznury wiszącego prania, które dzieliły łąkę na podobieństwo ścian w komnatach wielkiego pałacu. Górka pełniła latem rolę wspólnej suszarni. Od początku lubilem samotność, więc koledzy wiedzieli, że jak nie ma mnie w domu, to przesiaduję w strefie zakazanej. Bo dorośli wściekali się, gdy dzieci baraszkowały wśród mokrego prania. Moje pierwsze izolatki... Ale tylko tam konstrukcje budynków albo druty z prądem, nie kaleczyły ogromu błękitu.

Niebo zaludniały wyłącznie nadzwyczajne stworzenia – ptaki oraz sporadycznie samoloty, unoszące wyjątkowych ludzi. Po matce odziedziczyłem lęk przed przestrzenią – koledzy wręcz siłą zaciągali mnie na dachy albo drzewa. To dzięki nim poznałem potęgę trzeciego wymiaru, że z góry płaski świat wygląda zupełnie inaczej. Jednak pod koniec pojawiło się na mym niebie coś nowego... Nieznany intruz, którego starsi nazywali latawcem. Sprawiał wrażenie samodzielnej istoty, lecz po dokładniejszych obserwacjach stwierdziłem, że jest uwiązany do ziemi... Poszedłem za sznurkiem i spotkałem znanych z widzenia chłopców, zupełnie nie nadzwyczajnych! Byłem zdumiony, ci zuchwalcy poprzez swe dziwadło funkcjonowali pośród obłoków! Skurcz zazdrości dosłownie skręcił całe jestestwo...

Ranga ogona. Natychmiast zacząłem chłonać wszelkiego rodzaju informacje dotyczące anatomii i fizjologii latawców. Przede wszystkim zaś za słodycze kupiłem jeden okaz, aby w domowym zaciszu dokonać na nim dogłębnej sekcji zwłok. Nie znalazłem nic niezwykłego: listewki, papier, jakieś sznurki... Wystarczyło poczekać na odpowiedni wiatr – zaraziłem swych kolegów szaleństwem latawców, zaczęliśmy je samodzielnie budować. Oczywiście zająłem stanowisko inżyniera kierującego grupą robotników, gdyż jak każdy prawdziwy wizjoner, istota kultu, miałem wstręt do praktycznej strony życia – klejenie, wiązanie, przycinanie listewek. Pieniądze na zakup materiałów wyciągnąłem od Babki. Zresztą w domu zawsze było pełno różnego rodzaju kłębków. Naturalnie przyjąłem pogląd, że im większy latawiec, tym lepszy. Ogon traktowałem jako rodzaj ozdoby, ozdoby w gruncie rzeczy zbytecznej, bo zwiększającej ciężar całości konstrukcji. A więc preferowałem krótkie chwosty, by osiągnąć jak najwyższy pułap lotu. Aż do nieskończoności błękitu, kiedy latawiec stawał się malutką kropką na niebie. Jednak rychło zostałem skarcony, przy silnym wietrze, moje projekty zaczęły tańczyć szalone kółka, by w końcu z dużą siłą rozbić się o ziemię...

Pojąłem, że ogon nie tylko jest ozdobą latawca... lecz nie dostrzegłem jeszcze – ludzie też posiadają różne pozorne obciążenia, które zapewniają spokojny, choć niewysoki lot. Bo człowiek musi znaleźć sobie jakiś ogon, którego natura mu poskąpiła, aby nie rozbić się o ziemię. Równowagę dla myśli.

Tymczasem w telewizji zobaczyłem latawiec przestrzenny, zwany również skrzynekowym. Zupełnie inny od wszystkich konstrukcji, które dotychczas widziałem – kwadratów, gwiazd, jaskólek... płaskich latawców dla płaskich ludzi, których symbolizowała mi pani Ola, mama Bożeny. Bałem się tej kobiety, będącej dla matki prawie wyrocznią. Uważała, że jestem w domu niemożliwie rozpieszczany. Postulowała przydzielenie królewiczowi choćby niewielkich obowiązków oraz odebranie wszelkich przywilejów... przepowiadała marny koniec i w ogóle. Ale matka pełniła przy Babce rolę pokojówki i kucharki, mogącej realizować swe fanaberie jedynie na urlopie nad jeziorem. Po dwóch tygodniach wczasów pod kontrolą pani Oli, zacząłem się jękać. Spotkałem się tam z zimną konsekwencją na każdym kroku, bezdusnością godną doświadczonego sędziego. Zero serca, wszystko przez

głowę – a więc złośliwe docinki, komentarze, ironiczne uśmieszki... Poczułem się kimś gorszym, o wiele bardziej niż w szkole. Zauważyłem jednak, że nawet Bożena, która uchodziła wszędzie za dziecko doskonale płaskie, jakoś nie przepada za swoją mamą. Mamą żyjącą w dostatku, lecz oszczędną aż do przesady. Wykonującą zawód pielęgniarki, ale mającą serce wyłącznie dla silnych, zdrowych i bogatych. U Babki, czując za plecami poparcie bez granic, dokuczałem tej pierwszej spotkanej w życiu czarownicy, jak tylko mogłem – specjalnie czyniąc wszystko na opak. Znajdowałem w tym trudną do określenia przyjemność. Bo coś mnie do niej ciągnęło... Jej surowa, wręcz ascetyczna uroda z ostrym orlim nosem, robiła większe wrażenie niż matka, której piękno jaśniało bez skazy, bez punktu oparcia.

Otoczający mnie ludzie nie znali się na przestrzennych konstrukcjach latających. Byłem zatem zdany zupełnie na siebie. Co gorsza koledzy dostrzegając niepewność inżyniera, porzucili wykonawstwo niezrozumiałych projektów. Kto to widział fruwające skrzynki?! Zostałem uznany za wariata. Pomógł w tym fakt, że pierwsze dzieła w ogóle nie chciały oderwać się od ziemi. Czasem kończyło się krótkotrwałym napadem szału, który roznosił nieudanego latawca na strzępy. Łzy przy akompaniamencie rechotu przypadkowego towarzystwa... zacząłem szukać odludnych miejsc. Wszystkie pieniądze szły na listewki, kleje i papier. Potem porzucałem warsztat na rzecz podręczników modelarstwa i aerodynamiki, które studiowałem w zimowe miesiące, niewiele jeszcze z nich rozumiejąc. Aby na jesień wrócić – chcąc nie chcąc – do majsterkowania cechującego się pewnym perfekcjonizmem, który dosłownie wyłączał z normalnego życia.

Babka zaniepokojona moją namiętnością, paliła walące się po domu listewki w piecu. Myślałem tylko o latawcu skrzynkowym, choć przyrzekłem sobie, że nigdy więcej... Cały czas, pod skórą.

Są ludzie potrzebujący do miłości cierpienia lub strachu.

Dopiero kiedy zrozumiałem, że przestrzenna konstrukcja jest w istocie pustką, zamkniętą płaszczyznami, nastąpił przełom. W przypadku bryłowego latawca była to dziura w środku, umożliwiająca dopływ wiatru do wszystkich powierzchni nośnych. W mych wcześniejszych skrzynkach pracował wyłącznie spód – stąd ich ociężałość pomimo zastosowania najlżejszych materiałów.

Pustka nihilizmu dająca najwyższe loty... ale dopiero odrzucenie ogonów dało odpowiedni efekt. Przyzwyczailem się do nich tak bardzo, że nie wyobrażałem sobie jakiegokolwiek latawca bez ozdobnego obciążenia. Bo czy możliwe jest jakieś człowieczeństwo z pominięciem kultury?! A jednak... w przestrzennym świecie równowagę otrzymujemy ze ścierania się wektorów przeciwnych sił, czyli tkwi ona w samej konstrukcji latawca skrzynkowego, którego boczne płaszczyzny przypominają stateczniki samolotów. Tutaj nie potrzeba żadnych dodatkowych obciążeń... cała siła przekłada się na lot.

Przyszła potężny wiatr zwany okresem dojrzewania. Zapamiętałem to zdarzenie dokładnie. Październik z jego ołowianym i szaroburym niebem. Specjalnie wybrałem dzień bardzo wietrzny... Po tylu klęskach wołałem mieć choć z tej strony absolutną pewność. Ogromna skrzynia była niewiele mniejsza ode mnie; bardzo starannie wykonana. Naturalnie bez głupich ogonów. Lekka, lecz niezwykle mocna, a przede wszystkim maksymalnie pusta w środku. Wydmuszka... Nie musiałem w ogóle biec, poszybowała prosto z ręki, jak ptak na sznurku. Przędza od razu napięła się niczym struna gitary, naprawdę strasznie wiało. A ona leciała bez najmniejszego zachwiania, w idealnej równowadze. Nie żałowałem przędzy, po kilku minutach latawiec był już bardzo wysoko. No i ciągnął coraz to mocniej! Musiałem co chwilę odwijać trzymany kurczowo w rękach kłębek na kiju, bo moje dzieło zaczynało dosłownie wlec trzymające je dziecko – z takim latawcem, przy tym wietrze, miałby problem dorosły mężczyzna. Nie było gdzie dalej ustępować, drogę zatarasowały budynki opuszczonej fabryki. Sam... w pewnej chwili kij z przędzą nabrał obrotów, które paliły ręce. Krzyknąłem z bólu i puściłem... potem jeszcze instynktownie chwyciłem samą linkę, przecięła palce. Znow puściłem, tym razem już na zawsze. Mogłem tylko oglądać skaczący po poszczególnych dachach kłębek. Latawiec przestrzenny stał się częścią ołowianego nieba – dla mej duszy nadszedł okres burzy i naporu. Żywiołu, nad którym ani ja, ani nikt z dorosłych nie posiadał pełnej kontroli. Kłębek z przędzą skakał z miejsca na miejsce. W wieku trzynastu lat wyfrunąłem z domu Babki w Lepszy Świat, gdzie praktycznie zostałem bezdomnym... ale to już zupełnie inna historia.

Nie mam pewności, lecz zdaje mi się, że trzeci wymiar nie pasuje do płaskiej ziemi. Ludzie, którzy budują latawce przestrzenne, zbyt

często rozbijają się o twardy grunt albo giną w innych katastrofach. Za szafą... u Babki mogłem spokojnie żyć. Schowany za szafą płaski latawiec, który nie zajmuje wiele miejsca. Skrzynka wielkości małego mebla była tu po prostu niemożliwa. Matka... jedynie na jej pomoc mogłem liczyć, budując swe przestrzenne konstrukcje. Poszedłem za nią.

Popatrzyłem na pocięte przez przędcę ręce... i wtedy to przyszło! Pierwszy raz zapragnąłem zniszczyć wszystko. Wszystko, nie wyłączając siebie. Ale szybko minęło! Ten kto choć raz puści przestrzennego latawca, już na zawsze należy do błękitu! Wiara, że są ludzie dobrzy z samej swej skomplikowanej konstrukcji, a nie przez obciążenia kultury. Prawdziwi chrześcijanie... dzięki równowadze sprzeczności.

* * *

Szmaragdowe tablice. Zielonkawe płaszczyzny wiszące w klasach wszystkich szkół. Zawężające ogrom różnorodności świata do jakichś dwóch metrów kwadratowych. Przy pomocy umówionych znaków – liter, cyfr, osi, kropek... Ogrom uproszczenia, a przede wszystkim pozbawienie świata jego trzeciego wymiaru, czasu. Spłaszczenie... Jedynka po sekundzie, w której nastąpił wylew krwi do mózgu, to już zupełnie inna jedynka – inny człowiek. A na tablicy wciąż stoi ta sama cyfra. Ogrom kłamstwa.

Granica między marzeniem a kłamstwem... Te dwa słowa pokrywają się, choć są różnie oceniane. Tymczasem kłamstwo jest marzeniem na drodze realizacji. Słowa te pisze człowiek będący w dzieciństwie nałogowym marzycielem, kończący w roli zawodowego kłamcy. Bo rojenia pomijają znaczenie czasu niezbędnego na ich urzeczywistnienie. Że to już będzie inny człowiek. I ta opowieść też zalicza się do krainy fałszu, przy pomocy kombinacji słów... prawdziwa wymaga spojrzenia w oczy, które w przeciwieństwie do liter nigdy nie kłamią. Prawdziwa nie ma końca... życie. Coś jednak zostaje z duszy w tekście. Dlatego piszę. Marzenie o nieśmiertelności.

Matematyka. Tak naprawdę to jest tylko jedna jedynka – Bóg. Ta gałąź nauki, czyli religia dla ludzi praktycznych i zarazem ograniczonych. Bo pomijających nieustanną ewolucję rzeczywistości w czasie. Zawsze budziła w mym sercu strach. Tutaj wszystko, od samych podstaw aż

do końcowych twierdzeń było jednym wielkim kłamstwem. Swego rodzaju piramidą fałszu, na której wierzchołku czułem coś przerażającego. Nie chciałem się tego uczyć. Wyniki widniały niczym ostateczne wyroki, z którymi nie sposób się dogadać. Jednomysłność dzięki oszustwom w samych fundamentach, sztuczna. Nienaturalna, bo powstała poprzez podzielenie rzeczywistości na zupełnie odrębne światy... Liczby. Tworzenie granic tam, gdzie ich naprawdę nie ma. Świat jest systemem naczyń połączonych. Wystarczy podzielić obwód koła przez jego promień, a nie otrzymamy żadnego, konkretnego wyniku, zresztą idealne koła istnieją tylko w ludzkim umyśle. Prawda wypływa czasem z ogromu fałszu samoistnie. Ze sprzeczności pomiędzy poszczególnymi warstwami kłamstwa. Coś zostaje, w literaturze też.

Obraz dawnego świata z kościoła św. Mateusza w Starogardzie. Na ścianie pionowej przed wnęką, gdzie znajdował się ołtarz. A zatem wysoko, siedząc w ławkach, należało patrzeć prawie pionowo w górę, krótko, bo kark zaczynał boleć. Przy samym sklepieniu siedział ponury starzec. Bosy i ubogo odziany. Ponury przez niesłychaną obojętność powagi, spojrzenia, którego nie sposób było uchwycić. Z dołu. Ten spory fresk przerastał rozmiarem w sumie niewielki gotycki kościół. Na wysokości głowy, poziomo za postacią – ogromny dziwny, bo posiadający szereg odrostów miecz. Wisi sam... choć osoba ma lekko podniesione dłonie. Otwarte... Razem tworzą swego rodzaju krzyż. Człowiek i broń. Nie wiadomo co ważniejsze...

Niżej, po obu stronach ważne osobistości. Z koronami, mieczami, szkatułami i księgami. Chyba wzory do naśladowania.

Centralne miejsce zajmuje waga dzieląca świat na dwie części. To znaczy jego najniższe poziomy, przeznaczone dla zwykłych ludzi. Trzyma ją Archaniół, lecz małe diabełki ingerują, ciągnąc za łańcuchy, na których wiszą szale. Odpędza je włóczęgą, ale czy skutecznie? Samo zło symbolizuje czarny zamek, z jego okien bucha ogień. W bramie koszarne monstrum pętające sznurem świeżą dostawę grzeszników. Jego pacholki, owe diabluki i inne ohydztwa grasują wszędzie... także daleko po drugiej stronie. Wszędzie szukają łupu przeciągając na swoją stronę. Dobro przypomina obleżone miasto, słudzy potwora atakują je nawet z powietrza. Anioły stróże toczą potyczki z czartami, jednak nie zapuszczają się zbyt blisko czarnej twierdzy...

Zapewne Sąd Ostateczny, czyli świat jaki być powinien. Kreska i kolory są tak toporne, że całość robi wrażenie kosmicznego pikto-gramu. Jakby bazgroły malowane przez dzieci na ścianach. Jednakże temat nadaje im wręcz nadludzką moc sprzeczności. Siła prostoty... do dziś arcydzieło Memlinga wydaje się mi przy tym fresku pospolitą pstrokacizną. Niczym kwiecista mowa adwokacka przy pełnych rozpaczki prawdy wrzaskach na torturach. Najważniejsza szmaragdowa tablica mego miasta z epoki, kiedy mało kto umiał czytać i pisać. Pomimo tego mieli wizję całości, której dziś nie obejmuje umysłem nikt! Czasy zagubionych, mniej lub bardziej. Dlaczego? Czasy przymusowej nauki. Dziś człowiek bez niej pasuje tylko do więzienia lub szpitala dla wariatów. Kiedyś władcy nie potrafili się podpisać.

Przełom nastąpił gdzieś na poziomie czwartej klasy. Pojawiły się nowe, bardziej szczegółowe przedmioty, które zajmowały się więcej światem bez ideałów. Historia, geografia, biologia. Ich lekcje przypominały opowieści Babki, które chłonałem całym sercem. Tacy jak ja potrafili uczyć się tylko sercem. Bożenka umiała nauczyć się szybko wszystkiego, lecz nic na dłużej nie zostawało w jej sercu, które nie posiadało trzeciego wymiaru – przypominały owe diabluki ściągające ludzi w stronę koszmarnego monstrum. To dzięki nim zacząłem doceniać potęgę matematyki, która porządkuje całokształt wiedzy o świecie. Diabeł tkwi w szczególe, który jest trybikiem wielkiego mechanizmu. Rychło stałem się faworytem pani od historii, która była dyrektorką szkoły. Dzięki niej zacząłem być traktowany jak ktoś wyjątkowy, geniusz... choć ciągle robiłem mnóstwo błędów ortograficznych.

Po niedługim czasie nie wiedziałem już nic. Nie potrafiłem określić kim właściwie jestem. Runęły wszystkie mury obronne. Nauka ma to do siebie, że im więcej wiemy, tym więcej wątpliwości zaczyna się lęgnąć w naszych sercach. Bogu dzięki większość ludzi poznaje ją tylko przez głowę, zachowując czyste serce. Ale coś przecież pozostaje... Większość po prostu wie jak żyć, lecz ja na wiele lat stałem się plastyczną gliną w ohydnych szponach matematycznego monstrum. Gdyby nie lzy wylane przed tablicą z układem równań; na oczach całej klasy. Gdyby nie ten strach, który mówił aż nadto dobitnie, że jestem jedynie bojaźliwym dzieckiem. Gdyby nie porażki w pierwszych trzech klasach szkoły...

Komputery... wygodne ołtarzyki dla każdego człowieka. Nieprawdopodobna szybkość przetwarzania danych. Ludzie zatracający się w pośpiechu, który nie pozwala dostrzec błędów. Mnóstwo ekranów, idoli, wykresów – i w końcu coraz to większa pustka. Każdy może być kapłanem dowolnego bóstwa – ich liczba zmierza do plus nieskończoności. I każdy głosi swoją prawdę i nikt nie ufa nikomu. Pewnie, że wcześniej też tak było... Poza tym zawodowy kłamca nie może głosić wiary – ona powinna wyjść sama, spośród cierpiących uzurpatorów. Im uwierzą...

Pani Ola od razu zajęła stanowisko ochmistrzyni. Należała do ludzi, którzy zawsze wiedzieli co wypada, a co nie wypada. Przypominała starego, wytrawnego uzurpatora, który nie narażając się na żadną stratę, zbiera cały zysk. Ograniczyła się do niedrogiego, lecz gustownego prezentu. Spełnił on funkcję zadatku wstępnego umożliwiającego wejście do gry. Faryzejskiej taktyki pełnej odpowiednich słówek i trafnych uśmiechów. Wyglądała naprawdę uroczo, zaaferowana... z błyszczącymi oczami. Pewna towarzyskich przewag. Nie mogłem oderwać oczu, nawet Bożena zesłała na dalszy plan. Fakt, że większość wysiłków i kosztów poniosła moja mama, nie odgrywał większej roli – kultura wymaga ofiar. Pielęgniarka złotego cielca.

Gdzie kto ma zająć miejsce przy stole. Gdzie ma stać tort, a którądy naczynia z innymi potrawami. Układ talerzyków, sztućców, rodzaj oświetlenia. W ogóle, całą oprawa czyniąca życie pięknym. Przyszły Babki koleżanki z pracy... przecież zaszczyciła sama pani kadrowa.

Solenizantce wystarczyłaby flaszką wódki, w samotności. Zbyt dobrze знаła cenę, którą należy płacić za chwilę blasku. Na obecność pielęgniarki zgodziła się przez wzgląd na matkę. Alkohol piła zaledwie przez kilka dni w roku, ale jak już, to tylko w wielkich ilościach. Czasem wynikały z tego poważne kłopoty. Powracała mroczna przeszłość, czasy pełne złota, krwi i rozpusty. Wojny i zamętu, który nastał po niej. Dlatego stroniła od ludzi i ich zabaw. W przeciwieństwie do pani Oli, nie potrafiącej sobie odmówić uczestnictwa nawet w imprezach poniżej jej poziomu. Raczącej się właściwie codziennie, mniej lub więcej. Winem, do którego produkcji zmuszała potulnego męża. Były to czasy, gdy zło założyło maskę pustych półek w sklepach. Ale nigdy nigdzie nie upadłej, zawsze zachowującej kontrolę nad słowem

i uśmiechem. Dzięki posiadaniu wyraźnej granicy we wznoszeniu się ponad szarą rzeczywistość. Ostatni kieliszek...

Dla Babki najlepszą zabawą była wojna i autentyczna jawna walka. Ale czasy rycerstwa należały już w Europie do mitów. Krwawe pojedynki w obronie honoru, czci i cnoty możliwe były jedynie wśród kryminalistów... Uzurpator nazywany w języku piłki nożnej napastnikiem, ośmielony ospałością obrony stracił trochę na wrodzonej czujności – piłka za daleko od nogi. Pełne przesłodzonych pochwał ćwierkanie odnośnie nowej meblościanki, którą kupiła matka, spotkało się już ze zdecydowaną ripostą. Stara szafa po zecerze trafiła w ręce pielęgniarki za śmiesznie niską cenę, bo po prostu w domu zabrakło dla niej miejsca. Interes załatwiała córka, lecz Babka poczuła się oszukana. Powiedziała to teraz głośno i wyraźnie. Wśród grupy kobiet zaczęła już krystalizować się wina, lecz pielęgniarce udało się obrócić wszystko w śmiech. Jednak potencjał wisiał odtąd między biegunami, zaistniał.

Kolejki toastów wyznaczał naturalnie uzurpator. Babka gapiła się w ścianę dziwnie zadumana. Myślę, że wspominała dawne czasy, kiedy żyła pełną piersią. Dziś tak przypuszczam, bo wtedy tylko zapamiętywałem niewiele rozumiejąc, jak na lekcjach matematyki, które pojąłem po kilkudziesięciu latach. Coś zostaje... I przyszła chwila, że pielęgniarka ogłosiła koniec z alkoholem, będącym dla niej ostatnią linią obrony przed sztucznym światem. Grą oszukańczych pozorów.

Była na swoim terytorium, i co więcej, wódkę kupiono za jej pieniądze. Najświętsze prawo własności! Obowiązujące wszystkich: rycerzy, sługusów, handlarzy, a nawet jawnych oszustów. Wręcz złodziei! Otrząsnęła się i stanęła do walki. Przecież nawet złodzieje siedząc przy jednym stole, nie mają w zwyczaju wzajemnie się okradać. Sięgnęła po zestawioną z piedestału flaszkę i przywróciła jej miejsce centralne. Krew Chrystusa, którego brakuje na kościelnym fresku. Ale uzurpator pod osłoną umiaru w zabawach znów zepchnął przykazanie miłości w mrok niebytu. Zbawicielowi faryzeusze nie pozwolili dożyć na tym świecie ani czterdziestki, więc ten wredny staruch...

Śmiechy i wesołe komentarze powoli wygasły, gdyż między dwoma biegunami zaczęła się jawna szarpanina. Wiadomo przecież, że w pogmatwanych relacjach, racja należy do silniejszego. Stąd owe milczenie, czekano na werdykt, który w ciszy zabrzmiał jak uderzenie tłuczka o kawałek bitki do rozklepania.

Babka biła na sposób brakującej tu drugiej płci, pięścią. Z rozmachem i pewnością doświadczonego rzeźnika. Mama się rozplakała... Pielęgniarka w panice wykonywała nieskoordynowane ruchy. Całe pomieszczenie wypełniły jej rozhisteryzowane popiskiwanie. Towarzystwo kobiecie milczało dalej jak zakłète, czekając na prawdziwą krew. Gdyby nie Ela, która miała dość serca, żeby stanąć między swoją matką a jej przeciwnikiem, to naprawdę mogło by stać się coś złego. Czas na ucieczkę. Później odprowadziła Bożenę pod drzwi jej bloku. Wiedziałem, że to koniec. Są sprawy, których nie można kupić. Rosłem w siłę, choć dalej nie potrafiłem porządnie strzelić koziołka na lekcji wychowania fizycznego. Nie potrzebowałem już wzorów, lecz przyjaciół. Lecz ona zanadto dobrze знаła me słabe strony, aby zaistniał pomiędzy jakiś wspólny mianownik. Dziś staramy się nie patrzeć sobie w oczy – nigdy się nie rozumieliśmy. Ale znamy się aż nadto; nie ukrywała niczego przed niegroźnym niedorajdą, którego ukształtowały kobiety.

Rosłem w siłę. Na początku z wielkimi oczami rejestrowałem upadek małego uzurpatora, nic nie rozumiejąc. Potem cała scena stała się po prostu zabawna poprzez histeryczny trzepot pielęgniarki. W końcu jednak postawa Babki stała się nie do zniesienia. Nie chodziło o przemoc, brutalność i idące za nimi zło. Kwestia formy – przyszło zrozumienie, że tego rodzaju spontaniczność cechuje ludzi nieokrzyszanych. Niższych w kulturze. Zacząłem kalkulować... dobierać słowa i uśmiechy.

Ogród. Lewy bok górki zamykał wysoki płot z poczerniałych od starości desek. Wydzielały charakterystyczny zapach... W dodatku pomiędzy filarami przeciągnięto dwie linie drutu kolczastego. Nad szczytami dach. Podwórko obok było prywatne, a nasze należało do miasta. Do właścicielki przyjeżdżał japońskim samochodem syn, będący kimś niezwykłym. To auto miało taką moc jak dziś prywatny odrzutowiec. Nie mogliśmy oderwać oczu.

Obok zamiast zwykłej łąki otoczonej chlewkami, istniał dobrze utrzymany ogród, podzielony na dwie części. Pierwszą, bliższą naszemu podwórzku przeznaczono na wybieg dla kur oraz drzewa owocowe. Drugą, oddzieloną siatką z furtką zajmowały grządki warzyw i krzaki agrestu. Pośrodku niej stała kolorowa altana przypominająca mi domek z bajki. Widzieliśmy to wszystko poprzez szpary między dechami lub dziury po wypadłych sękach.

Po płotach najlepiej skaczą małpy... tak powiedziała matka, kiedy dowiedziała się, że moi koledzy namawiają mnie do udziału w wyprawie na cudzą własność roślinną, zwaną pachtą. Trafiła na podatny grunt, bo granica z drewna miała jakieś dwa metry do spadania. Zapewne wyczuwała, że przerasowany synek nie nadaje się na podwórkowego zdobywcę. Quasimodo. Ogrodem zajmował się na ogół najmłodszy, nieudany potomek właścicielki. Nieudany, gdyż upośledzony umysłowo i w związku z tym nauczany w innej szkole. Nieudany, bo z bardzo szczególną twarzą, naznaczoną zbieżnym zezem. Nieudany, ponieważ ten kawałek zieleni w środku miasta, to było całe jego życie. Zawsze z jakimś narzędziem w ręku... Gdy jeden z zuchwalców od nas, wtargnął do wewnętrznej części ogrodu, za daleko od furty i tym samym odciął sobie odwrót, trzymał w reku chruścianą miotłę. Złodziejasek został nią okrutnie obity, chyba trochę za mocno – w skutki zdarzenia interweniowali dorośli. Gdyby miał pod ręką haczkę lub inny metalowy sprzęt, to myślę, że skończyłoby się znacznie gorzej. Quasimodo podobnie jak ja, pilnując dobrze jednej kreski, źle znosił inne... W każdym razie od tego przykrego incydentu nikt nie zapuszczał się do wewnętrznej części prywatności. Ograniczyliśmy się do strefy przygranicznej, to znaczy ci odważniejsi z nas. Bo wielu wolało tylko obserwować. Autor był w tym na pewno najwytrwalszy.

Strefa mieszana, mieszania się dobra ze złem. Nawet matka, która przez swe całe życie nie ukradła ani jednego cukierka, cieszyła się cicho kiedy przyniosłem do domu wielki bukiet bzu, który chłopcy narwali w ogrodzie. Włożyła go do wazonu, stojącego na honorowym miejscu i jednocześnie upomniwała, abym nigdy nie przekraczał płotu prywatności. Ale jakoś tak bez przekonania... widziałem, że po cichu sprzyja małoletnim zdobywcom.

Marzenia, uzurpacje, zdobycze, kłamstwa... jakże ciężko przychodzi człowiekowi znieść milczenie Boga. Ale czym byśmy byli bez tych wszystkich naszych upadków?... Niepewny świat rodzi niepewnego człowieka.

Jakiej kobiecie zaimponuje facet, który nigdy nie zdobył żadnej dziewczyny z marszu, budując swoją prywatność według sztywnych od cnoty kanonów biblijnych. Nieprzekraczalne granice zabijają przecież spontaniczność uczuć. Uwiad... Żywa nie jest jednoznacznym przykładem na szkolnej tablicy! Lecz wówczas te szmaragdowe płasz-

czyzny były dla mnie wszystkim. Wszystko musiało mieć określony kolor, najlepiej czarny albo biały. Stałem więc zdeorientowany pod płotem i tylko całymi dniami patrzyłem. Męka obserwatora... Starałem się pojąć, lecz zawieszałem się niczym komputer, który otrzymał sprzeczne komendy. Dlaczego jabłka ukradzione z prywatnego ogrodu smakują lepiej niż kupione w sklepie, choć te drugie są dojrzsze oraz staranniej dobrane?

Fermentacja. W sercu z wolna narastała pustka wywołana zrozumieniem sensu szkolnych nauk. Próbowałem zapchać ją książkami, lecz efekt okazał się odwrotny. Nie wierzę w nic i tak dalej. Zaczęły się rozpaczliwe próby znalezienia czegoś, co udowodniłoby, że nie jestem jedynie dwunożną małpą. Czegoś nadzwyczajnego... Zmieniłem nawet punkt obserwacyjny – odważyłem się wspinać na trzepak stojący w pobliżu płotu ogrodu. Dzięki większej wysokości uzyskałem lepszy widok na bajkową altanę, która zdawała się być bramą do raju. Mówię wam: nie stójcie zbyt długo pod samą granicą. Albo ją przekroczcie, albo po prostu cofnijcie się. To złe działa, truje!

Babka miała w zwyczaju co jakiś czas robić generalne prania. Wstała wówczas bardzo wcześnie, aby zapewnić sobie nieobecność ludzi. Najczęściej w sobotę, w wolną sobotę. Dla większego prania istniało specjalne pomieszczenie, grunt neutralny, w którym spotykali się często mieszkańcy naszego podwórka. Coś jak łaźnia u dawnych Rzymian. To właśnie jej krzątania wybudzała mnie z dziecięcych snów. Przeszedłem do realizacji, bo świat marzeń rozpaczliwie się skurczył. Zaledwie kilka lat wcześniej rozbijałem zabawki napędzane elektrycznie, szukając wewnątrz duchów czy krasnoludków. Podobnie było ze starym radiem albo telewizorem. Ale teraz nauczyciele fizyki zmusili do szukania nadzwyczajnego wśród mechanizmów bardziej skomplikowanych. Żywi ludzie... Bo czy jest coś bardziej tajemniczego niż sposób postępowania choćby pełnego dzikusa. A co dopiero tacy, co jeżdżą japońskimi samochodami! Kokon z trzech kobiecych gracji zrobił się zdecydowanie zbyt ciasny. Brakowało tam już pokarmu dla dalszych marzeń – zwykłe, proste robotnice, które nie wiedzą nawet, co oznacza słowo konkwistador. Na Babkę wręcz nie mogłem patrzeć, co za tępa baba...

Naczyń mego grzechu. Wstałem i bez zbędnego gadania szybko się ubrałem. Na zewnątrz dopiero zaczęło się rozwidniać, choć

trwał miesiąc czerwiec. Chłodno w letniej podkoszulce. Strach... Nie! Dwunożna małpa świadoma swej zwierzęcości, potrafi ją do pewnego stopnia stłumić. Szedłem jak dobrze nakręcona zabawka, którą steruje ktoś zupełnie inny. Ktoś, dla którego ludzkie uczucia są czymś zupełnie zbytecznym. Wstydliwym... Wszystko przez głowę, którą najsukuteczniej można zmienić. Zaprogramować.

Po cholerę skakać przez płot, uważać na druty kolczaste, skoro wystarczy oderwać jakąś wadliwie przybitą deskę. W każdej granicy znajdzie się przecież słabszy punkt. Wystarczy poszukać!... Poszukałem! Znałem ten płot prawie na pamięć! Po chwili znalazłem też kawał żelaznej sztaby, która mogła posłużyć jako dźwignia – wepchnąłem w szczelinę pomiędzy dechami i do dziś pamiętam pisk wyciąganych gwoździ. Nawet się nie spociłem, a już mogłem się przeciskać w drugą stronę. Jak człowiek trochę pomyśli, to przeniknie przez każdą przeszkodę...

Nic zaprzątałem sobie głowy owocami. Nie uganiałem się też dla hecy za kurami, ani nie toczyłem pojedynków z drugim z obrońców ogrodu – wielkim rudawym kogutem. Miałem w głowie wielki cel, więc zwykłe uciechy, zostawiłem dla płaskich ludzi. Zresztą wszystko jeszcze spało, pod pierzyną liści ogrodu. W przeciwieństwie do mych kolegów, których zaliczyłem już do kategorii niegroźnych barbarzyńców, nie dokonywałem również żadnych bezsensownych zniszczeń: nie wysypałem ziarna z naczyń ani nie łamałem ozdobnych kwiatów. Szedłem prosto do celu, po linii najmniejszego oporu. Nie tracąc cennego czasu. Piękno ogrodu stało się tylko kolorowym tłem. Liczyła się wyłącznie cudowna altana.

Furtkę do wewnętrznej części otworzyłem ze spokojem cechującym starych arystokratów. Byłem teraz już doskonale widoczny z okien budynków właścicielki; tutaj kończył się już parawan z drzew owocowych. No i co... to do mnie należał cały świat. Wszyscy spali. Drzwi altany sprawiły trochę kłopotu, były opadłe i zaparte podłogą. Ustąpiły dopiero po porządnym kopniaku. Nic nadzwyczajnego. Nic, co warte było mej dotychczasowej niewinności – stolik i krzesła ogrodowe. Ale i tak miałem szczęście – wczorajszego dnia zapewne odbywało się ogrodowe przyjęcie, bo wszędzie stały szklanki, kieliszki, butelki z zachodnimi etykietami. Na talerzykach leżały jeszcze niedojedzone ciastka. Martwe natry... Czekały.

Złota róża. Chciałem już sobie pójść, bo wewnątrz altany czar nagle prysł. Znowu byłem sobą, paniczny strach niemiłosiernie szarpnął całym jestestwem. Quasimodo z siekierą w ręku... Jej nagły błysk powstał z gwałtownego obrócenia głową, podszedłem bliżej. Malutka, bardzo drobiazgowo wykonana płaskorzeźba przedstawiająca kwiat róży w wieńcu z jej liści przymocowana nitami do rączki łyżeczki do kawy. Stara robota... nie wiedziałem, że jest ze złota, a reszta to srebro. Pamiątka po kobiecie, która zmarła sto lat przede mną. Ale... podejrzenie ciężka. Jedna łyżka wystarczy, żeby zatruć duszę. Czar wrócił. Wracając starannie zamknąłem drzwi altany, furtkę, deska też wróciła na swoje miejsce. Żadnych śladów, naukowo. Spokojny krok doświadczonego zawodowca, który wraca z przechadzki dla zdrowia.

Potem na krótko zrobiło się bardzo głośno. Właścicielka odgrażała się wszem i wobec policją. Rozpytywała różnych ludzi, lecz nikt nic nie widział. Ukryłem swój skarb głęboko w szparze za piecem, ale i tak truchlałem ze strachu. Zabiorą mnie – poprawczak, więzienie, bez mamy. Pomimo tego czar wciąż działał, nikomu nic nie powiedziałem, nawet kobietom z domu. Choć tajemnica z dnia na dzień coraz bardziej ciążyła.

Pycha i pogarda. W końcu wina spadła na szczury i sroki. Recydywiści też się czasem do czegoś przydają... Bo kto by podejrzewał mdłego i bladziutkiego chłopczyka, który nigdy nic nie zbroił. Zawsze jakiegoś nieobecnego duchem... wygląda jak mały święty, powinien zostać księdzem! Tymczasem on, co jakiś czas, kiedy był pewien swej samotności, wyciągał Złotą Różę i cieszył oczy blaskiem szlachetnego kruszcu. Znał już jej wartość... Porzucił zupełnie ogród jego rówieśników, którzy kosztem głębokich ran zdobywali niedojrzałe owoce. Bydło robocze... on posiadał przecież największy skarb bez jednego zadrapania bez skarg właścicielki u rodziców, lania pasem i całego tego żalosego cyrku. Zatopił swój ostry umysł w coraz to większej liczbie prastarych ksiąg. Ale już z zupełnie innym nastawieniem, szukał słabych punktów, żeby rozbijać wszelkie granice i zagarniać stojące za nimi liczby i pojęcia. Wyciągi z konta, zagraniczne samochody budzące ekstazę szacunku mocniejszą niż najświętszy sakrament. Postanowił, że w przyszłości sam zostanie właścicielem ogrodu, którego nie zdobędzie nikt.

Satysfakcja, kiedy odkrył fundamentalną różnicę między Starym a Nowym Testamentem, poczęła tracić intensywność barwy. Złota Róża

ciężyla niczym ołowiana... Pycha podpowiadała, że znajdzie w niej zrozumienie. Tak wiele już przeczytał, zachwycali się nim na wywiadówkach w szkole. Od zawsze zakochany w swej matce, nie pojął, że ona kocha go trochę inaczej, z granicami. I pokazał sprawiedliwej rodzicielce skradzioną srebrną łyżeczkę do kawy. Cofnęła się przerażona, spojrzała jakoś zupełnie inaczej. Jak na obcego człowieka, na bandytę. Z wielkim wyrzutem. Nakazała zwrócić to, czego czuł się właścicielem. Zbuntował się, lecz gdyby nie ostra interwencja Babki, która nie pozwoliła zrobić ze swego jedynego wnuka złodzieja, to zostałby publicznie zdemaskowany. Ale miłość jest ślepa, poszedł za pięknem.

* * *

Czas. Rzeka czasu. Nieustająca ani na chwilę. Babka uciekając przed zupełną samotnością, uciekła do Niemiec. Prawdziwej samotności (wśród ludzi) nie zniesie nawet najtwardszy rycerz. Dawni mieszkańcy podwórza wymierali, jeden po drugim. Młodzi – jak ja – ruszali w szeroki świat, poza nielicznymi wyjątkami. Puste miejsca zajmowali nowi, przeważnie ci, co nie płacili czynszów w blokach. Nienawykli do zmagania z kwiatami mrozu. Przegrani... zatem upijający się najchętniej codziennie do nieprzytomności. Opieka dawała im trochę węgla na opał, zatem dla rozniecenia ognia rozebrali drewniany płot właścicielki, która już dawno przeniosła się na lepszy świat. Quasimodo trafił do domu opieki. Ogród bez granicy uległ zupełnej dewastacji – zamiast grządek stare opony i sterty śmieci. Graty, których nie opłacało się wywieźć na złom. Altana pozbawiona szyb i drzwi, cała w płatach odchodzącej farby, przekształciła się w budę dla okolicznych pijaków. Kiedy pomyśle, że to ja pierwszy oderwałem deskę z płotu, to...

Ale to nie! Żywa rzeka musi meandrować. Ważne są tylko brzegi, które należy ciągle niszczyć i odbudowywać na nowo. Granice życia... Bez nich rzeka zmienia się zwykle w bagno. Gdy zrobią się zbyt mocne powstaje martwy betonowy kanał. Zresztą cóż może pojedyncza fala, poza przemijaniem. Czasem przejrzy się w niej słońce i powstaje sztuka. Nie mylmy fal z nurtem całej rzeki, choć te dwie rzeczy często się pokrywają. Trzy kobiety z czasów mego dzieciństwa już dawno nie żyją, a na moich oknach coraz częściej zakwitają kwiaty mrozu. Obyś zastał ostatni ze swoich! Łaska czy przekleństwo?

JACEK MARIA HOHENSEE
godło: „Esej”

III nagroda w dziedzinie prozy



JACEK MARIA HOHENSEE – urodzony w 1943 r. w Częstochowie. Artysta, scenograf, malarz, architekt wnętrz, publicysta, satyryk, reżyser, pisarz, poeta. Autor kilkuset scenografii do teatrów TV, programów rozrywkowych, widowisk poetyckich, programów publicystycznych i filmów. Autor dziewięciu książek, wielu scenariuszy audycji radiowych, filmów i audycji telewizyjnych, wielu publikacji prasowych, w tym ilustracji i karykatur. Brał udział w wielu wystawach malarstwa i pokazach sztuki wideo w Polsce i za granicą. Laureat wielu nagród za twórczość plastyczną, twórczość telewizyjną oraz nagród poetyckich.

GALERIA

Co to za przyjemność wchodzić do tych galerii i do eleganckich sklepów, niedbale grzebać w stertach swetrów, koszul i spodni, czytając karteczki o zniżonych cenach i niebywałych właściwościach tkaniny, którą jednak należy prać osobno. Możesz wyciągać z wieszaków marynarki czekające na ciebie w szeregu, posłuszne jak sprzedawca albo sprzedawczyni, która chciałaby ci pomóc, uśmiechając się serdecznie, ale ty wiesz, że to ona potrzebuje pomocy, najchętniej żeby ją wyrwać z tego labiryntu pólek gdzieś, pewnie sama nie wie gdzie, gdzieś na ławkę, a może do innego labiryntu, który widziała na filmie, a może po prostu chciałaby się wypaść i pochodzić po swoim mieszkaniu bez makijażu, bez pantofli na wysokich obcasach i bez tego uśmiechu błyszczącego od szminki.

Co to za przyjemność w takt dyskretnej muzyki ukradkiem oglądać się w lustrach, w ustawionych konstrukcjach złudzenia, że świątynia, po której błądzisz jest ogromna, bezpieczna i piękna. A ty widzisz siebie w przydeptanych butach, w kurtce zmiętej na plecach, bo ten facet, tam, z tyłu, to też jesteś ty, ale z innej strony. Ty, przybysz z innego świata, turysta sprzed pół wieku, który mieszka w muzeum swojego mieszkania i pamięta, że tam, w korytarzu, za szklanymi drzwiami jest ciągle magazyn transparentów i portretów na drewnianych kijach, krzeseł i stołów przykrytych czerwonym suknem.

Wychodzisz na korytarz, gdzie po lśniących kafelkach płynie bezszelestnie elegancka maszyna zmywająca ślady spacerujących, jak ty, ludzi z wózkami, stertą opakowań, plastikowych siatek, torebek pełnych powietrza pachnącego dyskretnie perfumami i mydłem.

Obok w labiryncie lodówek i kuchenek gazowych możesz obejrzeć na raz, w kilkunastu ekranach jakąś katastrofę albo demonstrację, która odbywa się na zewnątrz, w bezpiecznej odległości, albo śpiewacz-

kę, chór operowych śpiewaczek powtórzonych w migających oknach w dowolnej wielkości i skali...

Ty, turysta z dziesięcioma dolarami w kieszeni i paszportem, który wystąłeś w czterdziestoparoletniej kolejce krążysz sobie między sterami kolorowych okładek, między którymi nie ma książek, albo tylko nie umiesz czytać w tym obcym języku, nie widzisz niewidzialnego pisma między kartkami przepisów na szczęście, książek kucharskich i poradników miłości.

Twój kolega ze szkoły sprzedaje reportaże z wojny, których cenę zniżono i dodano gratis zakładkę z pokemonem, albo w promocji film do aparatu, żebyś sam sobie też mógł zrobić zdjęciem z jakimś ludzkim cierpieniem, byle nie z własnym, bo to raczej niesmaczne i źle się ogląda.

Graliście kiedyś w karty na ławce, w tym parku z widokiem na rzekę, słuchaliście płyt przysyłanych z nieznanego świata, zdartych jak wasze buty, ale głośniejszych od przemówień i cenniejszych niż szkolne świadectwa. On marzył o wielkiej wygranej w Las Vegas, albo w Monte Carlo, a ty chciałeś tylko przejść się nad Sekwaną, bulwarem z jakiegoś refrenu. Twoją Wyspą Skarbów były stragany bukinistów, wcale nie dla książek, tylko tam właśnie chciałeś się zatrzymać i upozowany zrobić sobie zdjęcie o zachodzie słońca. I jeszcze chciałeś zobaczyć w Amsterdamie na dnie kanału zatopiony rower z jakiegoś filmu, zwodzony most z obrazu Van Gogha, nie marzyłeś nawet o Manhattanie, ale codziennie patrząc w okno siedłeś aleją do Middelharnis, chociaż okno wychodziło na szpital, skąd słyszałeś wieczorami wycie psów, na których z pewnością robiono jakieś eksperymenty, albo słyszałeś wycie silników, bo musiałeś mieszkać gdzieś w akustycznym tunelu między lotniskiem a miastem, i odnosiłeś wrażenie, że ktoś na tobie też robi badania.

Później, w Londynie znalazłem ten obraz i siedziałem zdumiony, gapiąc się jak w tamto okno, ale jakby z innej strony, szukając ściany swojego mieszkania, na której ciągle wisi reprodukcja, kartka z kalendarza z napisem Meindert Hobbema 1638–1709 Aleja do Middelharnis, pragnienie ucieczki i droga do nieskończoności.

Mój kolega ze szkoły w tym samym momencie kupował na saldach płaszcze z ortalionu i wysyłał w paczkach do domu, a ja siedziałem w połowie tej drogi i pewnie dotąd tam siedzę w szeregu topoli, tę

samą drogę widząc równocześnie z dwóch miejsc i z dwóch światów.

Oto David Caravaggia z głową Goliata, którą trzyma za włosy, z daleka od siebie, z dumą na twarzy, z obrzydzeniem, ale pełen wdzięku, z ciężarem ciała opartym na jednej nodze, z lekkim wgięciem tułowia, ledwo widocznym pod rozpiętym płaszczem. Stoi przede mną przez chwilę, zatrzymał się na mojej drodze, chyba specjalnie, w końcu opuszcza rękę z plastikową siatką i zdobytą głową kapusty. Nie ma już kontrapostu, słychać lekką muzykę. Z martwych natur de Heema i van Beyerena wypłynęły ryby, już poćwiartowane, ale są i całe, gapią się na mnie mętnymi oczami obłożone lodem. Zobaczyłem ten obraz i te ceny wbite w płyty mięsa, przyklejone do kwiatów, leżące na paterach obok ciężkich winogron, mosiężne tabliczki z napisem i cyfrą. Ta wielka ryba trzyma w pysku złoty pierścień z napisem *love*, a za stołem bankierzy, w białych kitlach kucharskich, dwie postacie, przed sobą na szalkowej wadze ważą perłę i czaszkę...

Ktoś potrącił mnie wózkiem.

Na szczycie wzgórza pojawił się niedźwiedź, scena z polowania, niedźwiedź zwała się po schodach, zjeżdża w dół, wprost w ręce myśliwych, gwizdże alarm na bramce, na chwilę gasną reflektory.

Niedźwiedź jest biały, z baraniego futra, przepasany góralskim pasem, myśliwi zbierają ogromne oscypki, które zgubił spadając ze schodów.

Stop kamera. Dubel.

Bramka gwizdże, tuż za nią chwytają mnie milicjanci, nagle znajduję się w małym pomieszczeniu bez okna, opróżniam kieszenie i na światło dzienne wychodzą dwie puszki, które przywiozłem (jak znalazł na święta), szynka przecież ważniejsza jest od choinki, koszyczka pisanek i baranka z cukru...

Niedźwiedź znowu wylazi na ruchome schody, gra kapela, górale w cyfrowanych portkach siedzą przed apteką, obok korytarza, gdzie są toalety, spoceni, zmięci, w objęciach świtu różowych kafelków. Żywa instalacja. W tle Aleksander Kotsis albo Gierymski, zamiast trumienki przed drewnianą chatą stoi stragan z kielbasą spod słomianej strzechy.

Dubel.

Spot reklamowy rodzi się z trudnością. Jak każde dzieło.

Oscypki raz jeszcze spadają ze schodów, gwizdże bramka, ktoś znowu chwytą mnie za ręce, pamiętam, że na ścianie widziałem jakiś napis, zatrzymałem się, ciekaw co to za hasło, wciągają mnie do bramy, skądś znam te głowy kobiece na szczycie pilastrów, zdejmują mi plecak, szukają farb, przez przypadek mam książkę wydaną na powielaczu, więc tłuką mnie pałkami po głowie, po plecach, gdzie popadnie, aż nie uklęknę na środku bramy.

„Nie dziś, nie jutro, ważne jest TERAZ” – czytam plakat na ścianie – *Burnt Norton* i *Cztery kwartety* na płycie CD za połowę ceny, jeśli odpowiesz co było wczoraj, co wczoraj było za połowę ceny. – Zdaje mi się, że jednak nic, że za wszystko płaciłem, w każdym razie nikt chyba nie dawał mi zniżki.

Time present and time past
Are both perhaps present in time future,
And time future contained in time past.
If all time is eternally present
All time is unredeemable.

To napisał autor libretta musicalu „Cats”
Sztuka jest reklamą uczuć wyższych. Niczym więcej.

Z wewnętrznej rotundy unosi się hałas, gwar wszystkich pięter i plusk fontanny, rozmowy, muzyka, jak światło rozproszona w sklepach sobowtórach.

Przez tę zasłonę przebija się nagle, jak z innego świata, obcy, znany trzepot skrzydeł.

Na zewnątrz wieczór, może noc, ten ogłupiały gołąb siada na poręczy – tuż obok mnie – i gapi się na stolik, na papierowy talerz, gdzie zostały okruchy ciasta z cynamonem.

Pewno miał gniazdo, gdzieś w pobliżu, kiedy stawiano tę szklaną kopułę. Nie zdążył uciec i został w środku, teraz przelatuje piętra,

jak we śnie, w labiryncie eleganckich ulic zamkniętego miasta, gdzie wiecznie jest ciepło, nie pada deszcz, jest mnóstwo rzeczy do jedzenia, i nikt nie rzuca w niego kamieniami.

Mnie też się nie chce stąd wychodzić, chociaż od dawna mam wrażenie, że przecież mam coś do zrobienia, muszę zapłacić za mieszkanie, telefon, przegląd samochodu, wymienić dowód, prawo jazdy, jeszcze zeznanie podatkowe, składki i lekarz, nie, nie mogę o tym myśleć naraz, o wszystkim naraz. Najlepiej jeszcze wziąć herbatę, popatrzeć sobie na gołębia, który ląduje mi na stole i dziobie resztki z talerzyka.

W domu i tak mnie nic nie czeka, jeżeli nie brać pod uwagę wiecznych pretensji, nowych żądań, pomówień, krzywd, rzekomych nieszczęść, niezawinionych zdarzeń losu, narastających potrzeb i wydatków.

Gołąb spokojnie wystartował, zatoczył koło nad stolikiem, wleciał w odwrotne światło nieba, uniósł się w górę nad napis BRAMANTE, wchłonęła go jasność, skrzyżowanie światów, wzniesiona w czystym powietrzu kopuła.

BRAMANTE, jakie piękne słowo, świetliste, otwarte, śpiewne i pogodne, jaka piękna nazwa, obok RENESANS, na parterze BERNINI, BRUNELLESCHI, RAFAEL. Oto siedzę w Kaplicy Sykstyńskiej, brakuje jeszcze tam, wysoko, Michała Anioła, zamiast niego zlatuje zesłany z powrotem spod kopuły gołąb, wprost w moim kierunku, wyraźnie mnie wybrał, może znów liczy na ciasto, a może jednak czegoś chce ode mnie.

Siada mi ufnie na ramieniu wzbudzając zachwyt biegnącego dziecka, które przed chwilą, z nieobecnym wzrokiem trzęsło się w automacie obok, kręciło kółkiem kierownicy, która naprawdę niczym nie kieruje.

Na pewno czegoś chce ode mnie, daje się złapać, i zamyka oczy, dziwne powieki wstające od dołu. Zgubiony pośród zimnych luster, zamknięty w sztucznej klatce światła, sztucznych marmurów i prawdziwej pustki.

Wstaję, ostrożnie niosę go przed sobą, siedziałem na ostatnim piętrze, tutaj za oszklonymi drzwiami jest taras pełen samochodów, parking, najwyższy poziom nad garażem.

Na zewnątrz wieje lekki wiatr, jest ciemno, zapach benzyny i dalekich krajów, prawdziwe gwiazdy, chociaż ich nie widać i w dole światła wieczornego miasta.

Gołąb natychmiast zaczął się wyrwać, puszcza go w górę, leci mi nad głową, wreszcie zakręca i siada przed wyjściem, potem próbuje przebić się przez szybę, chwile się kręci na ziemi przed drzwiami, znajduje moment, kiedy ktoś wychodzi i znów z powrotem wpada do środka.

Odwracam się w kierunku miasta, patrzę z tarasu na wysokie bloki i widzę naprzeciwko balkon i okno, gdzie pali się światło i jakiegoś człowieka, który patrzy w okno i nie może zasnąć.

Nie mogę zasnąć, antena na dachu wpada w wibracje i cały blok, jak mi się zdaje, od piwnic po mój pokój, drży gotowy do startu jak wehikuł czasu. Na klatce schodowej metalowe poręcze niosą jakieś brzęczenia, to wszystko cichnie i odzywa się znowu ze zdwojoną siłą wybijając mnie ze snu w ciemny duszny pokój.

Cały wieczór za oknem jakiś szalenciec pędził na motorze, tuż pod moim oknem, unosząc przednie koło do góry i dodając gazu, żeby na przystanku, gdzie na ławce siedziało kilku jego kolegów, wzbudzić wrzask aprobaty.

Wczoraj mój sąsiad śpiewał do trzeciej nad ranem, świtem przyjadą betoniarki, dźwig postawiony tuż przy skrzyżowaniu będzie do góry ciągnął betonowe płyty. Ten człowiek, w szklanej budce, możemy sobie pomachać jak sąsiedzi, ale nie zwracamy na siebie uwagi, siedzi na wprost mnie dziesięć pięter nad ziemią. Z jego szklanej klatki nie widać, że tu nie ma domów, nie ma ciężarówek, samochodów pędzących w stronę skrzyżowania, i że tam z ziemi, gdyby wspiąć się na palce, można nad chwastami zobaczyć cień lasu i pochylony krzyż przydrożny, Bóg wie dlaczego stoi pośrodku pola, w tym gąszczu zdrewniałego zielska, na straży horyzontu, ledwo widoczny pośród traw.

Czasem tylko przepiórka lub zając wypadają na drogę i przerażone nieznaną przestrzenią wracają natychmiast w zielone korytarze dwumetrowych ostów.

Jesienią splątane lodygi i skurczone liście pokrywają się rdzą, ich szelustanie się ostre i przenikliwe, rysunek w ukośnym słońcu nabierze powietrza i rozmyje się we mgle. Pokryte szronem, jak koronkowa serweta, biała sieć, będą chwytac lezące z krzykiem wrony. Gdy spadnie śnieg na łąkach zrobi się cicho, i z głębi labiryntu wybiegną łańcuszki śladów ptasich łapek, mysie ścieżki i ciemne tropy niewidzialnych zwierząt.

Na moim oknie siedzi sowa i woła: „Pójdź! pójdź!”, nie, to ogromne ramię wysuwa się zza szyby, piszcza stalowe kółka, właśnie urosło nowe piętro nad morzem traw, już ledwo widać ciemne pasmo lasu, na moich oczach rodzi się moloch, który pożera zachód słońca i wciąga w czarne, betonowe dziury czas, mój czas, czas lokatora kolejnej budowy, który potrafi swój sen dopasować do świata za oknem, tak jak musiał nagiąć się do swojej pracy, do swojej rodziny, do innych ludzi i cudzych pomysłów.

Samochód stawiam przy bocznej ulicy, tam gdzie z rusztowań wiatr nie zrzuci desek; kiedyś, jak latawiec, segment drewnianego płotu uleciał w powietrze i runął wprost na przednią szybę. Wtedy pod wykop kolei podziemnej wbijano pale, całymi dniami trzęsło się mieszkanie, poprzednie mieszkanie, do dzisiaj mam w domu kawał białej gliny, w tym żółtym piasku ściany przy wykopie zastygła jak obłok, którego okrucuch chciałem zabrać z sobą, zanim z powrotem nie zniknie pod ziemią.

Teraz przed domem mam wielką tablicę, wizję przyszłości, kolorowy projekt: Przejście graniczne do Szlarafenlandii, port, gdzie cumuje prom do Narragonii, brama do Arkadii, Centrum Handlowe,

Supermarket.

Galeria.

Jest rozgwieżdżony neonowy wieczór, sztandary wieją w świetle reflektorów, grają silniki tirów na parkingu, słysząc tłuczone butelki, megafon, muzykę i zza tablicy wprost na skrzyżowanie pędzi motocykl, wyprzedza autobus, żeby tuż przed przystankiem znowu stanąć dęba.

Nagle silnik się dławi, słysząc jak metal szoruje o asfalt, głuche uderzenie, cisza.

Podchodzę do okna, te zdrewniałe zielska ciągną się aż po horyzont, pada deszcz, krzyż co zabłądził pośród dzikich traw, zgarbiony, kiwa się na wietrze jakby za chwilę miał wzbić się do nieba.

To też jest obraz, widziałem go chyba na parterze, choć nie jestem pewien, na ścianie przetartej przez złudzenie czasu, sztuczną patynę, sepię na tynku spękany w misterne dorzecza, bo przemijanie też można przyspieszyć. Niskie niebo, przydrożny krzyż i oczerety. Obok w zjedzonych przez korniki ramach, nie, to jest przecież imitacja ramy, kopia złożenia do grobu, krzywe lustro tragedii, do powieszenia w eleganckim wnętrzu, gdzieś nad kanapą, zresztą to wszystko można nabyć, jak głosi folder, w dowolnej skali, w każdych ramach, wzór w załączeniu, na zamówienie, nieograniczoną liczbę egzemplarzy.

Piękno dla wszystkich.

Nie musisz jechać do Toskanii, Florencji czy Sjeny, żeby wpatrywać się w te małe obrazki i szukać Sassetty od św. Franciszka. Nie musisz oszczędzać w Paryżu żywiąc się kielbasą przywiezioną z Polski, bagietkami i mlekiem, nie musisz tłuc się autostopem przez całą Europę, Stefano di Giovanni przyjedzie do ciebie i Simone Martini ze swoją Madonną. Z Pokłonu Trzech Króli, wykadrują dla ciebie psa leżącego na beżowym klepisku, choć Ducha Świętego wyciętego z Trójcy bardziej wypada przesłać na kartce do rodziny na święta. Agnolo Gaddi nie zaprotestuje, jego prawa autorskie wygasły w 1396 roku, razem z nim, a ty siądziesz wygodnie obok tej galerii, w barku Café de Paris i zamówisz kieliszek Château Clos de la Tour i będzie ci się wydawało, że jesteś raz jeszcze na jakiejś rue de Trétaigne w Café Biard, gdzie stać cię było tylko na szklaneczkę stołowego wina, bo nie miałeś żadnego stypendium, nawet tych paru tysięcy starych franków jak inni barbarzyńcy, którzy obsiedli Lamandé, albo monsieur Cogito, który pewien czas mieszkał na Wyspie św. Ludwika.

To dzięki niemu teraz rozmyślasz o Albigenkach i trubadurach, smakujesz swoje Château Clos de la Tour, jak konstrukcję katedry w owym „stylu Gotów”, o którym kiedyś ktoś powiedział, że „kierował się kaprysem” i „zatrul sztuki piękne”, wywołujesz z pamięci Fryderyka Montefeltre, z tym garbatym nosem, który czatował w książkach twojej matki, w tym pierwszym mieszkaniu, gdzie był piec węglowy, ten por-

tret, który namalował Piero della Francesca przed którym spotkaliście się z Panem Cogito, chociaż naprawdę nie spotkaliście się nigdy.

To nic, że na sztucznej ulicy łomocze techno zwane muzyką i wygoleni młodzieńcy, w spodniach z krokiem na wysokości kolan, skaczą w powietrze na deskorolkach. To nic, że w pamięci masz ciągle to zdanie, że „sztuka nie powinna przynosić korzyści, jest czynnością tragiczną”, ten cyrk na deskach jest również czynnością tragiczną, jak każdy cyrk i wcale nie musiałeś oglądać żadnych „Linokoczków”, „Rodziny arlekina”, albo „masek” Ensora, żeby pod szminką kłowna, pod każdym zresztą makijażem, nie wyczuć pragnienia ucieczki, ale jednocześnie wiary, że kiedyś *niebo kurtyny pęknie naprawdę, uniesie się i ukaże rzeczy niesłychane i olśniewające, ponieważ to sztuczne niebo szerzyło się i płynęło wzdłuż i w poprzek, wzbierając ogromnym tchem patosu i wielkich gestów, atmosfery tego świata sztucznego i pełnego blasku...* – Jak pisał Schulz – *Dreszcz płynący przez wielkie oblicze tego nieba, oddech ogromnego płótna, od którego rosły i ożywały maski, zdradzał iluzoryczność tego firmamentu, sprawił to drganie rzeczywistości, które w chwilach metafizycznych odczuwamy jako migotanie tajemnicy...*

Więc tak wyglądają otwarte do późnej nocy sklepy cynamonowe, wyłożone boazerią barwy cynamonu, nie, to imitacja boazerii, ściany malowane matową, tajemniczą farbą, która ma wzbudzić moje zaufanie, żebym mógł poczuć się bezpiecznie, wyciągnąć kartę kredytową, jest na nią nawet przeznaczone miejsce, gniazdo, punkt neutralny, i żebym wybrał zza pancernej szyby jakiś kosztowny drobiazg, który z pewnością mnie odmieni, jak pierwszy zegarek, który dostałem od rodziców, dzięki któremu uznałem, że jestem dorosły.

Zegarek był tani, bez kamieni, ale na ręce wyglądał poważnie i miał sekundnik, nieoceniony szczegół dla sędziego biegów na przełaj przez podwórko i meczów piłki nożnej na łąkach pod miastem.

Niestety, wkrótce zegarek mi zginął, zsunął mi się z ręki, zniknął gdzieś na wakacjach, być może zdjąłem go przed kąpielą w rzece, bo chciałem mieć znowu kilkanaście lat.

Całkiem niedawno, to nieprawdopodobne, w tym samym miejscu, znalazłem w piasku, nad rzeką, grudkę rdzy, zbutwiały pasek i tamte swoje kilkanaście lat raz jeszcze.

To oczywiście nic nie znaczy, mógłbym równie dobrze wyobrazić sobie, że tam, nad rzeką nie ma już wysokich brzegów, że zarośniętym rozlewiskiem płynie czerwona od rdzy woda, ale przecież na brzegu stanie zaraz mój ojciec z wędką, a obok, po drewnianym moście zadudnią pięty chłopaków skaczących do wody.

W końcu czas można mierzyć rdzą, kolorem cynamonu, dźwiękiem, zapachem wiatru.

Nad nim, po moście łączącym dwa piętra, przepływa tłum spacerujących ludzi, pod mostem wisi przezroczysty baner, plakat, na którym świeci wspaniały zegarek, z którym już nigdy się nie spóźnię i który, pewnie, zgubiony nad rzeką będzie na mnie czekał, wodoszczelny, odporny na wstrząsy, mierząc mi wiernie lata i sekundy. Wystarczy wrócić, podnieść go raz jeszcze, oczyścić z piasku i zapiąć na ręce.

Wystarczy wejść, kupić, zapiąć go na ręce, i mogę pozbyć się nareszcie powracających snów, zamyśleń, przez które gubię się, nie mogę zdążyć, tracę swój cenny czas, które zmieniają mój kalendarz w płynący rzeką papierowy statek.

Siedzą na kamiennej ławeczce pod kolorową mozaiką ściany, na której Wenus stojąca na muszli, trzyma dzban z wodą, może to nie Wenus, to pewnie źródło, alegoria poranka albo wiosny, w każdym razie ta postać trzyma dzban z wodą i z tego dzbana płynie strumień wyblakłych turkusowych kostek, gdzieś za ich plecy w cień kamiennej ławeczki.

Muszą być bardzo zmęczeni, objedzony lodami chłopiec trzyma w ręczce balonik i zasypia oparty o tę turkusową wodę, mężczyzna w czarnej jesionce i białej koszuli, pochylony do przodu, z łokciami na kolanach, głową opartą na dłoniach, patrzy sobie na buty, jakby czytał leżącą na ziemi gazetę. Spocony kosmyk białych włosów wysunął mu się spod czapki, którą założył dawno temu, wychodząc z innego obrazu, wtedy trzymał głowę do góry i na szarym niebie oglądał z ojcem lecące bociany.

Może widziałem go zresztą gdzie indziej, teraz mam przed sobą utrudzonych wędrowców. Na niedzielnym dworcu słysząc przez megafon jakieś ogłoszenia, w poczekalni snują się podróżni patrząc bezmyślnie na witryny sklepów, gdzie mogą przed odjazdem kupić sobie pamiątkę.

Za chwilę usłyszę gwizd pociągu i zostawię ten dworzec oprawiony w eleganckie ramy, ale obraz ucieka w dół, a przez oszklone okno windy widzę przez chwilę balonik, który leci w tym samym kierunku, razem ze mną na najwyższe piętro.

Przez moment jest ciemno, potem staje przede mną kwadratowy szyld Maggi z odpryśniętą emalią, nad nim jest okno, kilkanaście okienek w wykrzywionych ramach, z daleka łączą się w jakiś rysunek, a może literę, inicjał z tajemniczej książki, którą trzeba otworzyć. Drzwi skrzypią, dzwoni dzwonek zawieszony nad drzwiami. Za ladą stoi dziewczyna w białej bluzce, ta bluzka szyta jest ze spadochronu, przez materiał prześwieca halka i pręży się stanik. To siostra kolegi z którym chodzę do szkoły, właśnie waży cukier, potem go wysypuje w skreconą gazetę, zagina ją z dołu, a z góry, starannie, zgniata papier w gwiazdę wciśniętą do środka.

To wszystko jest niezwykle, pełne tajemnicy, lepkie jak cukierki w prostokątnych słojach leżące na ladzie, małe akwaria, pełne kolorowych rybek, przezroczystych jak bluzka albo białych jak mleko w metalowej bańce.

To wszystko dzwoni, pokrywa od bańki, metalowe naczynie z tym długim uchwytem zawieszone na bańce, dzwonek nad drzwiami, na zewnątrz chłopaki toczą metalową obręcz kierując rowerem, którego nie widać, a który pędzi po dziurawym chodniku omijając studzienki.

Ten cukier w gazecie musi starczyć na miesiąc, jedna torebka na jedną osobę, więcej kupić nie można, nawet jeśli z jej bratem ucieka się z lekcji, żeby po kryjomu pod mostem palić papierosy. To było nasze miejsce, przy tych wagonikach, którymi wywożono cegły i glinę, póki była cegielnia, teraz nie ma już torów, wózki przewrócone do góry kołami świetnie chronią przed deszczem. Można wejść na czworakach przez szczelinę nad ziemią i w żelaznym namiocie czekać, kiedy mostem przejedzie ten prawdziwy pociąg. Wtedy w środku zardzewiałej kołyski słyszeć samoloty, szarżę kół na zwrotnicy, dalekie, powtórzone echo z głębokiego snu. Tego dźwięku nie sposób opisać, ale zostaje w pamięci, jak toccata i fuga, Symfonia Patetyczna, koncert e-moll, czasem wystarczy tylko zamknąć oczy, żeby do mnie powrócił jak tocząca się kula czegoś nieznanego, co narasta w ciszy i oddala się w ciemność.

Drzwi bezszelestnie otwierają się w światło, znowu słyszę muzykę, po wewnętrznym balkonie szerokim jak ulica, chodnikiem z mozaiki spacerują ludzie oglądając witryny. Od strony jezdni chroni ich barierka, lecz jezdni nie ma, tylko przepaść przez piętra w dół i na każdym piętrze, po szerokiej loggii spacerują ludzie spoglądając na siebie, jednocześnie na scenie, w foyer, na widowni i w loży szklanego teatru, w spektaklu na żywo, niekończącej się wizji grafiki Eschera, jak w zamkniętej pętli złudzeń perspektywy.

Za barierką, na dole, na kamiennej ławce widzę tego chłopca i mężczyznę w płaszczu, chłopiec wciąż trzyma balonik, którego już nie ma, bo popłynął ulicą w niebo niespodzianek, a mężczyzna zdjął czapkę i przez telefon, w nabożnym skupieniu czegoś nadśluchuje, czyjegoś głosu, który też odpłynął.

Piętro wyżej, nad nimi, odbija się w lustrze zdjęcie łąki, zdrewniałych, dzikich traw i na tym tle, na podwyższeniu, jak na katafalku stoi lśniący od niklu motocykl, w stercie niebieskich spodni, dżinsów, o których marzyłem pięćdziesiąt lat temu, ponieważ to one, jak magiczne zaklęcie, miały przenieść mnie wtedy gdzieś, na drugą stronę muru, który nosił na plecach ślady umarłych pokoi, kawałki tapet i czerwonych plakatów.

Idę przez puste pokoje, w których nikt nie mieszka i każdy pokój otwiera się jak książka, albo jak okno niosące odbicie poprzedniego pokoju gdzieś dalej, gdzie nie mogę już wrócić, chociaż chciałbym zobaczyć raz jeszcze, jakiś przedmiot stojący na biurku, obraz który pamiętam, który odpłynął za szybko, żeby sprawdzić co naprawdę ukryte zostało w tych znajomych ramach. Nieraz, we śnie, przechodziłem przez ściany, przez mieszkania, gdzie wszystko wciąż było, gdzie na swoim miejscu stał tapczan i półka z książkami, w ciemnym korytarzu przykryta kolorowym kocem czekała skrzynia pełna tajemnic, z uszami ze sznura, z zawiasów, z pokrywą zamykaną na zamki, na cztery zatrzaski, łamane zapięcia, podobne do starych zapiec na butelkach, z których piłem oranżadę w sklepie naprzeciwko.

Przechodziłem przez kuchnię z półkolistym zlewem, drewnianym stołem ze śladami mąki, szerokim piecem z fajerkami na żelaznej płycie i zbiornikiem na wodę obok paleniska. Jadalnie, pastowane podłogi, ciężkie żyrandole, kredens pełen bibelotów, kanapy oparte o ściany

okrytą kilimem. W tym pochodzie przedmiotów, sprzętów, doniczek na oknach, drzwi, zakamarków i kaflowych pieców krył się ten pokój z zaciemnionym oknem, w którym przed łóżkiem, na wprost drzwi, wciąż stały zgazzone gromnice w wysokich lichtarzach.

Ale przechodziłem też przez pokoje dziecinne, nie tak jasne jak te, teraz, na ostatnim piętrze, na wprost schodów ruchomych, którymi ciągle napływają ludzie i krążą wśród mebli, wypełniają te wnętrza bez ścian, w przedziwnej procesji, otwierają drzwiczki, zaglądają do szuflad i sprawdzają poduszki na wysokich krzesłach.

Pewnie też miałbym takie mieszkanie, elegancki pokój, jak w droгим hotelu, gdybym nie zbierał przypadkowych przedmiotów i mebli, tak jak kupowałem przypadkowe książki, te, które kiedyś chciałem koniecznie przeczytać, ale które na półce zamieniły się przecież w zbieranie okładek, pospolite ruszenie, śpiące na biwaku, po wyprawach w nieznane, drogą do nieskończoności.

Te dziecinne pokoje, przez które przechodzę wypełnione są światłem, pięknym, sztucznym światłem, niemal przezroczyste, w pastelowym cieple milczące jak ekran, przez który przepływa, zerwany z uwięzi, kolorowy balonik tego chłopca śpiącego na kamiennej ławeczce.

Przez megafon – na chwilę przerwano muzykę – usłyszałem numer swojego samochodu, zrozumiałem, że coś się stało i że wołają mnie na parking. Dopiero co widziałem policyjny samochód, razem wjeżdżaliśmy do tego garażu i bałem się, że znowu, jak kiedyś, zablokują mu koła, bo stał gdzie nie wolno parkować, bo akurat zmieniono przepisy, nie przeczytałem informacji, nie zdążyłem przeczytać, bo spieszyłem się do lekarza.

Są takie dni, kiedy wszystko się wali, nachylasz się, żeby zawiązać sznurowadła i już nie możesz się wyprostować, bo ktoś wbił szpilkę prosto w twój kręgosłup. W tym samym momencie listonosz przynosi wezwanie do sądu, masz złożyć zeznanie w sprawie, której nie znasz, myślisz, że to pomyłka, ale na wszelki wypadek robisz rachunek sumienia. Potem dzwoni telefon, że dziś mija termin, nie pamiętasz czego, twój pies właśnie zjadł ci drugie śniadanie, potem zdajesz sobie sprawę, że są urodziny teścia, albo co gorsza rocznica twojego ślubu, nie, to nie jest ten sen w którym znowu zdajesz maturę, albo wycho-

dzisz na scenę, gdzie czeka fortepian, na którym w życiu nie umiałeś zagrać, nawet jednym palcem najprostszej melodii, to w ogóle nie jest sen, robi ci się gorąco, siadasz na kanapie, szukasz papierosów, zanim je znajdziesz odkryjesz w kieszeni jakiegoś ubrania rachunek, który trzeba było zapłacić, oczywiście wypalasz dziurę w kanapie, bo papieros wypada ci z rąk.

Teraz też chciałbym zapalić, ale przecież nie wolno, biorę tylko do ręki paczkę papierosów i tak wchodzę na parking, gdzie zostawiłem samochód i już nie jestem pewien, w którym miejscu to było, może nie na tym poziomie, wiem, że na prawo od wejścia, ale wchodziłem przecież innym wejściem. Widzę przed sobą morze samochodów tuż pod wielką ścianą, kolorowe graffiti, kolorowy bełkot hieroglifów, jednakowy jak wszystko co wrzeszczy dla wrzasku, *Eils! Skapia patzia ia drinkan!* Gdzieś przecież to widziałem, wczoraj? W Rzymie? Z okna pociągu jadącego nad Lemanem, na plecach domów odwróconych w stronę ośnieżonych Alp?, w kolei podziemnej na Washington Square?, może w Salonikach? w Madrycie?, ten liszaj przecież pojawia się wszędzie. *Eils! Skapia patzia ia drinkan!*, słyszę klakson samochodu, stanął na drodze, na pasie ruchu jadących do góry, kręcąc się w kółko, gdzie jest mój bagaż, za chwilę odleci samolot, odjedzie pociąg, skończy się promocja, wrzucić monetę, zadzwoni teraz, no dzwoni, to jest twoja szansa.

Zapalam papierosa i idę wzdłuż muru, muzyka płynie przez megafon, płynie obok tej ściany, przecież muszę sobie przypomnieć gdzie zostawiłem samochód, ten garaż ma cztery piętra, ściana jak szyderstwo wciąż jest taka sama, chociaż zmienia kolory, żadnego fragmentu zapamiętać się nie da.

– Tu palić nie wolno – pojawia się strażnik, a ja natychmiast gaszę papierosa i tłumaczę, że usłyszałem numer samochodu i nie mogę go znaleźć. Strażnik bierze telefon, nie, to walkie talkie – Tak. Jest właściciel – mówi odwrócony do ściany i każe mi zejść piętro niżej, schody są tam za filarem, trzeba otworzyć te drzwi, których nie ma, bo schowane pod warstwą hieroglifów w sprayu zrosły się ze ścianą w jeden długi bełkot, w nieskończony tunel.

Z drugiej strony już widać migające światło, check point, szlaban, samochody, tam się chyba coś stało, ale nie jestem pewien, czy to ekran, czy wyjście z tunelu, nic nie słysząc oprócz muzyki, teraz ktoś

wzywa sprzedawcę z działu mebli giętych i znowu muzyka, a u wyjścia tunelu ktoś przebiega z noszami. Podjeżdżają karetki, zdaje mi się, że słyszę jednak policyjny sygnał, skąd ten niepokój, to musi być ekran, ta krew to jest farba, graffiti, to tylko upiorna, makabryczna wizja jakiegoś chłopaka z puszką farby, spokojnie, to jednak jest ekran i nic się nie stało, jeszcze nic się nie stało, trzeba znaleźć te wyjście, jest, klatka schodowa, drzwi odcinają ten krzyk i muzykę. Cisza.

Słyszę swoje kroki na stopniach, *Eils! Skapia patzia ia drinkan!*, gdzieś musiałem to słyszeć, gdzieś musiałem przeczytać te zdanie, w drzwiach, piętro niżej spotykam człowieka z puszką białej farby. Mój samochód znajduję od razu, ktoś prosi, żebym go przestawił, bo zaczęli malować pasy na parkingu, najlepiej pod tę białą ścianę, która już wyschła i pod którą zamilkły, przynajmniej na chwilę, jadące na sygnale karetki pogotowia.

Gdy Goci wrzeszczeć zaczną – Przypominam sobie – Cum Gothi exlamare incipient *Eils! Skapia patzia ia drinkan!* O! Quo difficile carmina alta deducere est.

Za wycieraczką samochodu znalazłem zdjęcie dziewczyny, nawet nie całkiem rozebranej, z telefonem i ofertą, że przez godzinę będzie dla mnie miła, *pomyśl ile serdecznych godzin miałeś w swoim małżeństwie, policz i sprawdź co się bardziej opłaca.*

Pomyślałem, że życie jest nieopłacalne, począwszy od jedzenia i zdzierania butów, najgorsze jest spełnianie pragnień, to zawsze jest bardzo kosztowne, więc z punktu widzenia zdrowej ekonomii moja obecność w ogóle jest bez sensu, zwłaszcza tutaj, ponieważ za parking też musiałem zapłacić, nie mówiąc o ciastku z cynamonem, chociaż dostałem za darmo plastikowe sztucce, ale ich nie wziąłem do domu, za to wziąłem serwetkę z nadrukiem, papierową, ale bardzo miękką, ponieważ świetnie czyści okulary.

Może dotrze do ciebie, że to wszystko strategia obliczenia, marketing, wojna na intrygi, to naprawdę jest wojna, najpierw tylko utarczki, tak do pierwszej krwi, przecież nie skrzywdzisz kogoś ci bliskiego, potem nagle się budzisz, a tu dookoła cała sieć umów, przyzwyczajęń, zawłaszczane pola twojej zgody na powolną eutanazję, bo choć nigdy nie jest za późno, kiedy się już ockniesz, osaczony, bez żadnego opar-

cia, wiara, że to złudzenie, pozwala ci przetrwać. No więc chociaż nigdy nie jest za późno, przecież jednak za późno jest zawsze, ile razy się znajdziesz tam, gdzie nie powinienesz być się znaleźć i naiwnie podejmiesz rzucone wyzwanie do spełnienia marzeń, które wcale nie będą twoje, bo ty w ogóle nie miałeś chyba żadnych pragnień...

Odłożyłem książkę z powrotem na półkę wystawioną z księgarni, życiowy poradnik, zresztą przeceniony, jak pozostać sobą, i między kartkami jak zakładkę zostawiłem znalezione zdjęcie.

Teraz chodzę rozmyślając dookoła fontanny, siadam na ławce, przeglądam się w lustrach tych wspaniałych sklepów, w których czytam nowe zaproszenia do spełnienia marzeń, to wszystko przecież może stać się moje, zresztą na to zasługuję, nowy krawat, zegarek, najlepiej telefon, przez który mogę zawsze swoim bliskim zrobić niespodziankę, złożyć życzenia w atrakcyjnej promocji, a jeśli moi bliscy nie mają telefonu, chyba go nigdy nie mieli, wyślę sam sobie wiadomość, codziennie rano, razem z melodyjką, najlepiej *dzień dobry*, albo coś innego z zestawu i zacznę miło swój kolejny dzień.

Właśnie dostałem ulotkę ze słoneczną plażą, jakieś biuro podróży chce mi zapewnić ucieczkę od codzienności, spuchniętych nóg i wracających obrazów, które nie dają mi zasnąć.

Obok pod szyldem *Romantyczny Świat*, czeka na mnie niebywała okazja w postaci aniołka wyciętego ze szkła albo bukietka zasuszonych kwiatków, lampy z ciepłym światłem, i ramki na zdjęcie kogoś, o kim nie wolno mi zapomnieć.

Na wprost na ścianie widzę polichromię, dalszy ciąg sklepów, jak żywy, znakomite złudzenie, południowe miasteczko i widok na morze. Z otwartego okna wychyla się nawet jakaś młoda kobieta i macha do mnie chusteczką gdzieś ze środka lat siedemdziesiątych albo quattrocenta, jakie to ma znaczenie, jest tak samo zdumiona, patrzy w swoją przyszłość, w korytarz sklepów i napis *Romantyczny Świat*.

Musi widzieć ten ekran w końcu korytarza, na którym samolot wbił się w wieżowiec, pewnie chciałaby zamknąć to okno, albo tylko obrócić twarz w stronę morza, gdzie płynie żaglówka, a mewa zawisła tuż nad horyzontem, ale zastygła z tą ręką i chusteczką nieruchomo, bo ktoś oparł drabinę o jej okiennicę, odchylił ścianę, skrzydło na zawiasach, które ją uniosło odsłaniając tablicę pełną przycisków i zwiniętych kabli.

A kiedy wróciła już na swoje miejsce, nad morzem zapalił się świe-
tlisty napis:

Bądź sobą, wybierz, spełnij swe marzenia.

Marmurowy postument otoczony słupkami i sznurem, na nim akwa-
rium z kawałkiem rafy i prawdziwym piaskiem, kilka roślin w środku,
kilka kolorowych rybek, może kilkanaście, nie ważne ile, starczy na-
wet jedna.

Akwarium w galerii, a może w muzeum, wyrwany z oceanu sze-
ścian, w innym kontekście, dwa światy, teatr ruchu na żywo.

Z głośnika płynie coś, niby muzyka, niby gwar głosów, szum mo-
rza, raper śpiewający yellows pages z książki adresowej, cokolwiek,
tło.

Można oczywiście jeszcze bardziej obrazić siebie samego, widzia-
łem już w galeriach zwłoki, wypchane zwierzęta, chorego człowieka
w szklanej klatce, pływające symbole wiary i miłości, to przecież tylko
symbole, miłość i wiara są ognioodporne, a przecież szyderstwo i upo-
korzenie sprzedają się razem, nawet z przymrużeniem oka, jeśli udają,
że są tylko żartem.

To się nazywa przekraczać granice, przełamać stereotyp, jakby wy-
obraźnia miała w ogóle granice.

Starczy popatrzeć w głąb tamtego sklepu, gdzie można kupić kar-
mę dla kanarków, kanarki, puszek z jedzeniem dla kotów, żółwia, twa-
rzowe ubranko dla twojego teriera. Mile widziane karty kredytowe,
właśnie jakaś kobieta kupiła chomika, nie, to biała myszka, kasjerka
czytnikiem sprawdza kod na brzuszku, za nią na wystawie jest tamto
akwarium, ślimak łązi po szybie, obok w czystych trocinach śpią białe
szczenięta.

Przechodzę do innej sali w tym muzeum, gdzie nie ma już ścian,
gdzie są tylko akwaria, cienkie, krystaliczne ekrany, ciekłokrystaliczne
okna, precyzyjny obraz płynących wolno, ale nieustannie, tęczowych
łusek, morskich kwiatów, podwodnego światła, bezmyślne, wielkie,
kolorowe pletwy.

Teraz ja jestem w akwarium, a ten marmurowy podest zamieniono
na wybieg, pomost, nie wiem jak to nazwać, w każdym razie gdzieś
z głębi, z zewnątrz, ze środka ekranu wychodzą kobiety o rybim spoj-

rzeniu i z tym nieobecnym wzrokiem, skądś znam ten półuśmiech i ten wyraz twarzy, idą stawiając stopy w jednej linii, jakby chciały na śniegu ukryć swoje ślady.

Z głośników płynie ta sama muzyka, kołyszą się biodra, płyną zwiewne szale, fiszbinowe skrzela połykają światło, mienią się treny, połyskują gorsety. Pochód, karnawał, pokaz przebierańców, defilada kostiumów, teatr bez teatru.

Przedemną stoi w różowej kurtce i futrzanym toczku znajoma z osiedla, czterdzieści lat temu zamówiła kolejkę w mięsnym, mieli rzucić parówki, zapomniała zupełnie, wypadło jej z głowy, to przez tę muzykę, a ta piękna dziewczyna z odsłoniętą piersią, w przezroczystej szarfie to jest jej córka, chora na białaczkę.

Ona stoi oparta brzuchem o zakupy kipiące w metalowym wózku, a córka na głowie ma kaptur z muślinu, przezroczystą kopertę z tęczowego worka, spiętą sztucznym kwiatem. Odwraca się, płynie, za tę wielką szybę, z powrotem do innego świata.

Potem gaśnie światło i cichnie muzyka, śpiewają kanarki, różowa kurtka podchodzi do kasy i już na zewnątrz, jeszcze raz, wyjmuje z plastikowej klatki śpiącego szczeniaka, przytula go, głaszcze, zamyka z powrotem i kładzie na wierzchu wózka z zakupami.

Chyba się zgubiłem, bo po prawej miał być przecież bankomat, a jest sklep pełen perfum i patrzą na mnie nieruchome twarze kobiet zza szyby, tym uwodzicielskim spojrzeniem, które odkrył już Botticelli, to lekkie przesunięcie źrenicy na linii górnych powiek, złudzenie asymetrii, zamglenia, tajemniczej uwagi z którą mnie śledzą, jednocześnie nie widząc, bo zapatrzone są w siebie. Te wielkie fotografie, zza półek z flakonami, zamknęły mi drogę, a może to tylko jakaś gra, w przestrzeń, w czas do wynajęcia, sklepy zmieniły miejsca, szeregi eleganckich butów są ustawione w drugą stronę, a manekiny zmieniły ubrania.

Z drugiej strony stoiska jakaś stara kobieta z wózkiem na zakupy, patrzy na mnie z uwagą, to może być moja koleżanka ze studiów, znajoma z pracy, a może nawet pierwsza szkolna miłość, na wszelki wypadek odwracam się w stronę marmurowych schodów, od pewnie-

go czasu widzę coraz więcej tych dziwnie znajomych, nieznajomych twarzy płynących wolno w szklanych korytarzach.

Czegoś szukają pośród sztucznych ulic, ulic sobowtórów w sklepach pełnych przedmiotów, niezwykle potrzebnych, koniecznych do życia, bez których jednak mogły się uśmiechać i trwać aż do dzisiaj w tej niewiedzy pragnienia.

A może tylko, jak ja zabłądziły w tym *pragnieniu ucieczki do nie-skończoności*, mają dużo czasu, za dużo czasu, którego kiedyś tak im brakowało i zamiast usiąść w oknie na poduszce obserwują okna oświetlonych wystaw oparte na rączce wózka na zakupy.

W lustrze znowu mignęła ta stara kobieta z przekrzywioną głową, nie to obraz Rembrandta, to jego matka czyta biblię reklamowej gazetki.

A potem za szybą zobaczyłem ulicę i deszcz, grupkę ludzi pod dachem, od czasu do czasu przepływał parasol, przed przystanek zjechał zablokowany autobus, miał na szybach przezroczysty plakat, znowu jakieś twarze, ale roześmiane, *ogromna, kolorowa beztroska*.

Jednakowym, nieruchomym wzrokiem patrząc na mur i przystanek, na biegnących ludzi, którzy bardzo chcą zdążyć na ten właśnie autobus, bo przecież wszystko jest życiową szansą, na którą zawsze trzeba zdążyć, jak głosi napis na plakacie.

Autobus ruszył odsłaniając drzewa, schowane za wysokim murem, pamiętałem tę bramę i ozdobną kratę do jakiegoś ogrodu.

Deszcz przestał padać, parasole zniknęły, a ja zapragnąłem sprawdzić co jest za tym murem, podeszedłem bliżej i szyba, jak na zawołanie odsunęła się na bok.

Ucichła muzyka, poczułem znajomy zapach spalin, stałem przed bocznym wejściem wypuszczony na zewnątrz, na granicy dwóch światów, w pierwszej chwili nie wiedząc, który z nich mam wybrać.

Zapragnąłem sprawdzić co jest za tym murem, przeszedłem przez jezdnię i zaraz za bramą poczułem, że ktoś mnie szarpnął za nogawkę. Za słupem siedziała kobieta w szarej czapce z wełny i jakby chciała ściągnąć mnie na ziemię wskazując na dół, na przedmioty leżące na ziemi. Niby figury jakiejś gry, na planszy prześcieradła, zegar, świeczniki, złożona apaszka, wytarta kasetka, sznur drewnianych koraliki.

Spojrzałem w aleję biegnącą od bramy, przy kaplicy stał stragan, dalej drzewa, te same, tyle, że bez liści i między drzewami setki sprzedających, tysiące rozłożonych gazet, koców, obrusów, plastikowych worków. Wszedłem w tę aleję zaskoczony, z ciekawością gapia, widza, któremu się zdaje, że znajdzie coś, sam nie wie co, coś niezwyklego, magiczny przedmiot, okazję do kolekcji, którą zacznie zbierać.

To byli głównie starzy ludzie, zmęczeni i zamknięci w sobie, czasem całe rodziny, od czasu do czasu poprawiali leżące ubrania, wyglądali niemodne suknie, czyścili sztucze, przesuwali naczynia. Ktoś sklejał wazon, w kryształowych kieliszkach mieniło się światło. W jednej z alejek staruszek w berecie sprzedawał obrazy, połówkę szkice, ramki z dziurami po kornikach.

Krażyłem wśród parasoli, dziecięcych ubranek, zjedzonych przez mole futer. Oglądałem talie kart, wziąłem nawet do ręki jakieś rękawiczki, cienkie jak pajęczyna, lekkie, pachnące jeszcze pudrem, wachlarz, torebkę z koralików, to wszystko leżało na starych gazetach, niektóre trochę nadpalone, też chyba na sprzedaż, zbierane po antykwariatach, siedziała przy nich starsza dama i przekładała na kolanach nuty. Obok leżały skrzypce, cylinder, frak, a z drugiej strony, domek dla lalek i koń na biegunach.

Stałem na chwilę, na środek alejki wybiegła wiewiórka, skoczyła na bok, tam na pagórku siedzieli żołnierze, jeden z nich wołał – Basia, Basia – trzymając w ręce kawałek suchara.

Mieli przed sobą rozłożone płaszcze, na płaszcach medale, manierki i skórzane pasy, jakieś odznaki, listy w kopertach przewiązane gumką.

A dalej chłopak w niebieskim mundurku rozłożył album i znaczki pocztowe, kredki, tornister, szkolne książki, a między nimi jak największy skarb, na haftowanej chusteczce do nosa szkolne świadectwo i zepsuty zegarek.

Błądziłem alejkami, coraz bardziej zdumiony, czasem miałem wrażenie, że kogoś poznaję, ten człowiek na przykład w szarym garniturze ze stertą książek, które wciąż układał, przewracał kartki, czytał, czasem brał ołówek i skreślał całe zdania, albo tamten, w peruce, odpinał mankiety od starej koszuli. Dziś nikt nie pamięta, że kiedyś mankiety można było zmieniać.

Tuż przy ogrodzeniu odkryłem kwaterę zardzewiałych narzędzi, dłut, młotków, pilników i stertę części do starych rowerów, a dalej jeszcze fotografie, aparat na statywie, biurko z maszyną do pisania, za którym drzemał w czarnej marynarce cień, szara postać, odwrócona tyłem.

Ktoś miał kolekcję przedawnionych czeków, stertę pieniędzy, walizki banknotów, które wyszły z obiegu razem z walizkami, obok ubrany w skórzane ubranie drzemał młody człowiek, skryty za wrakiem motocykla. Tych wraków było więcej w głębi, gdzie mur się zawalił i przez tę wyrwę wpadało z zewnątrz jakieś obce światło, na rozkręcone części samochodów, i ocalone ze złomowisk radia, siedzenia, reflektory.

Wszystko już jest niepotrzebne.

Laski, obrączki, wózki inwalidzkie, płyty, wypchane głowy zwierząt, klatki z martwymi papugami i ukochane zdjęcie psa.

Przez moment, nim się nie ocknąłem, że na tym targu nie ma kupujących, że nie ma nikogo, że jestem sam między drzewami, zdawało mi się, że widzę moich rodziców, siedzących pod drzewem, i pośród albumów i książek leżących przed nimi widzę *Sklepy cynamonowe* i *Barbarzyńcę w ogrodzie*.

WALERY SIKORA
godło: „Motyl”

wyróżnienie drukiem



WALERY SIKORA – ma 62 lata, mieszka w Kędzierzynie-Koźlu. Od dziecka zajmuje się pisaniem pamiętników, powiastek i wierszy. Maluje i rysuje. Dużo podróżował. Pracował m.in. jako ślusarz, strażak, zaopatrzeniowiec, geodeta. Ma czworo dzieci i pięcioro wnuków. Publikacja w „Krajobrazach Słowa” jest jego debiutem literackim.

JEDNA Z HISTORII

Moja babcia też miała świra. Gdy jej się oświadczyłem, to nazwała mnie „durak”. Głupek, a sama wcześniej wyszła za carskiego kozaka. Gdy ten zmarł z rozprutymi flakami, a miała z nim trzy córki, to wyszła za mąż za bandytę, który z kumplami okradał pociągi towarowe i wojskowe na Uralu. Z nim też dorobiła się córki, więc miałem mamę i trzy ciotki. Powiem więcej. W roku 1905 jej brat zginął w czołgu, w Mandżurii, w wojnie z Japończykami. Ponoć byłem do niego podobny. Wtedy tanki nie miały włazów ewakuacyjnych. Spalił się biedaczek.

Drugi jej brat był w armii Czapaiewa. Tłukli kolegów mojego dziadka i pradziadka. Ale „Biali” też nie byli gorsi. Po którejś bitwie, dziadek wykopał się spod stosu trupów. Przeoczyli go, czy coś. Dowłókł się do sztabu i tam go opatrzyli.

Co mam więcej pisać? Kocham trupa? Bo babcia już nie żyje. Ja też niedługo będę trupem. Trup z trupem w zaświatach. Może być śmiesznie.

Wróćmy do rzeczywistości. Mama też nie żyje i jej siostra. Tatę już wcześniej szlag trafił. Sierotą jestem. Tato miał dziesięć siostr i jednego brata. Był najmłodszy z rodzeństwa. Wszyscy padli. Acha! Przekroczyłem sześćdziesiątkę, więc się nie dziw. Trupy dookoła jak ręką sięgnąć. Moi przyjaciele i znajomi.

Mama zostawiła stos pamiątek. Co mam z nimi zrobić? Pisała cyrylicą polskie wyrazy. Część przetłumaczyłem.

Babcia miała 17 czy 18 lat. Jej ciotka rozebrała ją do naga i wygnała do spichrza. Nadzia zakopała się w zbożu. Była ostra zima. Jej kuzyn pojechał konno do jej adoratora. Ten przyjechał saniami ze swoimi kozakami. Wasyl był już po rozwodzie z mieszczką i chciał mieć chłopkę za żonę. Zrobił awanturę i ciotka oddała mu Nadię. W Boże Narodzenie był ślub i pierwszym dzieckiem była moja mama. Dziadek miał 42 lata. Córka ciotki, Maria, też później wyszła za mąż. Parę lat temu

odwiedzili ich moja siostra ze szwagrem. Staszek był dumny z ryb złowionych w Wołdze. Saratow, Bugulma. Bugulma – tam urodziła się moja mama. Pradziadek miał młyn, staw, kawałek lasu i wioskę osiedleńców, którzy stale byli pod bronią. Sąsiadowali z ordami tatarskimi. Pilnowali granicy. Ale się stało! Pradziadek z żoną i całą rodziną musieli uciekać na Ural. Nagle stali się kułakami. W roku 1935 nie potrzebowali dokumentów. Babcia z Wasylem i córkami mieszkali w baraku kolejowym. Dziadek dbał o tory kolei transsyberyjskiej.

Pod koniec lat trzydziestych, pradziadek ubrał się w swój mundur oficerski i wrócił z Andrzejem do Bugulmy. Dom i młyn spalony, stado rasowych koni znikło. Wstąpili do kumy. Zobaczyli tkaniny ze swoich ikon i same ikony, swoją zastawę na stole i inne rzeczy. Przeklął ich – ale wcześniej wygadał się, gdzie mieszkają. Czeka w dwa dni później ich zabrało. Ponoć na Kamczatkę. Babcia pytała, ale nie chcieli powiedzieć.

I co mam zrobić? Gdzieś zginęli w 1937 roku. Pradziadek Danił z młodszym synem. Zostałem tylko ja. Nikt nie czytał pamiętników mamy. PAMIĘĆ, PAMIĘĆ, PAMIĘĆ, PAMIĘĆ... Tyle żyć ludzkich na kawałku papieru.

Mama przeszła jako sanitariuszka III Frontu Ukraińskiego. Dotarła do Budapesztu. Tam załapała syfisy. Wyleczyli ją. Zwolnili ze służby. W Moskwie ją okradli. W cienkiej sukience, pociągami towarowymi, wracała na Ural. W Złatouście, jako kelnerka, poznała mojego ojca. Ponoć „omotał ją” językiem. Rzeczywiście znał świetnie rosyjski i ukraiński. Jak sobie pochłanił, to śpiewał w tych językach romanse.

Wcześniej, w 1939 roku, wsadzili go do pociągu ze Lwowa na Kazachstan. Wyłamał deski w wagonie i uciekł z kumplem. Pociągami towarowymi dotarli na Ural. Tam podrabiał listy przewozowe. Wymieniał futra na sól i tak jakoś. Jego kumpel połąsił się i też spróbował podrobić taki list. Nie miał talentu do kaligrafii rosyjskiej jak mój tata. Wpadł i zakapował.

Tato praktycznie całą wojnę przesiedział w więzieniu. Kiedy wyszedł, to szalał po knajpach i tak trafił na mamę. Babcia go nienawidziła. Pojechaliśmy do Polski. Był Władek, który zmarł po dwóch miesiącach, Wala i ja. Tato dostał farmę pod Szczecinem. Powiedział, że on, batiar lwowski „w gównie nie będzie rąk brudził”. Z Kaziem Górskim też chłali, bo razem grali w „Czarnych” we Lwowie. Straciliśmy wszystko.

Pojechaliśmy do Opola. Mama urodziła Luśkę. Mieszkaliśmy na 1 Maja u Słyszowej. Tato zamykał mamę w domu, bo był zazdrosny. Mama jednak wymykała się i w koszarach ruskich zdobywała jedzenie. Jak? Nie wiem. Jako kombatancka? Syn Słyszowej 20 lat później został zadżgany nożem w „Trójkacie Bermudzkim – Odra, Piast, Semafor”.

Wróciliśmy do babci, do Złatousta. Wala zaliczyła pierwszą klasę, a ja rok przedszkola. Tato znalazł przez Czerwony Krzyż swoją mamę i siostry w Opolu. Znowu pojechaliśmy. Mieszkaliśmy u cioci Zosi, razem z mamą ojca, która nienawidziła mojej mamy, bo Rosjanka. Ciocia Zosia oddała młodszego syna, Romka, swojej siostrze – z biedy. Ciotka Wanda i wujek Ignac byli bezdzietni. Romek dowiedział się o tym, gdy był już dorosły. Afekty! Podkochał się w mojej młodszej siostrze. Jak uciekła z domu, to mieszkała trochę u niego.

Zapomniałem o Kamionce Strumiłowej. To są już moje wspomnienia. Pięcioletniego brzdąca z dzisiejszą, ponad półwieczną wiedzą.

Wracaliśmy drugi raz do Polski. Była to ostatnia repatriacja – rok 1956. Utknęliśmy we Lwowie. Na dworcu tłumy. Masa ludzi poranionych, w pokrwawionych bandażach. Uciekli z Węgier. Tato chciał rzucić się pod pociąg. Ichni sokiści oderwali go od torów i zaprowadzili do komendanta stacji. Tam wyjaśnił, że ma trójkę dzieci z żoną. Nie mają nawet wody i miejsca, by razem usiąść. Wyszły rozkazy. Mama z nami dostała pokój i jedzenie. Z powodu rewolucji na Węgrzech, Rosjanie zamknęli granicę do odwołania. Dostaliśmy pokój w burdelu, w Kamionce Strumiłowej. Tam tato namalował obraz na całą ścianę: „Trzej bohaterowie”. Jakiś partyjniak go zamówił. Może wtedy zdecydowałem, że będę malarzem. Wciąż mam ten obraz przed oczami. Przeżyliśmy do wiosny następnego roku. Gdy topiłem się w gównie, to tato mnie wyłowił. Gdy topiłem się w rzece, to uratował mnie pionier. Coś musiałem sobie zrobić, bo nie mogłem chodzić. Mama zawiozła mnie w wózku dziecięcym na plac apelowy. Rówieśnicy naśmiewali się ze mnie.

Dyrektor nazwał pioniera bohaterem, a mama wręczyła mu *Dzieła wszystkie* Lermontowa. Nie mieliśmy ich w domu, więc chyba ze szkoły.

W Opolu dostaliśmy mieszkanie po Niemcach. Polskiego uczyłem się w przedszkolu. Przez dwa tygodnie mieszkaliśmy w przedpokoju. Była zima. Tuliliśmy się do ściany, gdzie był piec kuchenny. Niemka nienawidziła mamy, kose spojrzenia, ostry głos, ale dała nam czasem

ciepłe mleko. Gdy wyjechali do Niemiec, to mieszkanie było naprawdę NASZE. Trzymając się za ręce tańczyliśmy w dużym pokoju. Hopsa! Hopsa!

Wala, mimo że jest o dwa lata starsza ode mnie, nic nie pamięta. Była zaskoczona *Jedną z historii*. Ma bardzo racjonalne podejście do życia. Teraźniejszość i przyszłość są najważniejsze. Nie zamierza dźwigać garbu przeszłości. Dlatego napisałem, to co napisałem, dla jej i swoich dzieci oraz wnuków. Domagały się tego.

Żona pamięta opowieści mojej mamy. Uważa, że każde zdanie *Jednej z historii*, może być początkiem następnego rozdziału olbrzymiej księgi. Brakuje mi jednak czasu. Nie napisałem dalszego ciągu. Na podwórku istniała nacja polska, śląska, żydowska, niemiecka i rosyjska. Każde z dzieci tych nacji nienawidziło Rosjan. Zwalczali mnie i poniżali. Dorośli również.

mienie”. Tam można trafić na emeryta, który całą kasę wyłoży, by się napić. Teraz można porządzić.

MARCIN SZTELAK
godło: „Humanoid”

I nagroda w dziedzinie poezji



MARCIN SZTELAK – urodzony w 1975 r.; mieszka we Wrocławiu. Członek Grupy Poetyckiej Wars, uczestnik II Warsztatów Poetyckich Salonu Literackiego w Turowie oraz XVIII Warsztatów Literackich Biura Literackiego we Wrocławiu. Laureat wielu konkursów (m.in. wyróżnienie w XVII OKP im. Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, wyróżnienie w V OKP „O granitową strzałę”, wyróżnienie w XIV OKP „O Lampę Ignacego Łukasiewicza”, III nagroda w VIII Ogólnopolskim Konkursie na Prozę Poetycką im. Witolda Sułkowskiego). Jego wiersze drukowano w tomikach pokonkursowych oraz almanachach. W grudniu 2012 r. został wydany jego debiutancki tomik „Nieunikniona zmiana smaku”.

BRAKI W SYMETRII

Pokłosa i klęski urodzaju na stycznej
widnokręgów.

Świat zamiera z wyciągniętą dłonią,
w proszalnym geście.

Nic sobie z tego nie robimy, upojeni
zachodzącym horyzontalnie.

Okolo poranka mamrocze my litanie
wszystkich błędów.

Rozgrzeszenia padają na łóżka, tuż obok
głów pełnych jutra.

I innych zapowiedzi – nierealizowanych.

ŻEBRANINA

W tak zwanym raju
kieszenie pełne kamieni – bezgrzesznych.
Naga Ewa bezwstydnie wodzi na pokuszenie.

W zaroślach szeleści – węże albo Adam
zbiera jabłka.
Przejrzałe.

Później wieczór, kolacja.
Nikt nie wspomina o wypędzeniu.
Nudno, nawet ogryzki da się przełknąć,
bez problemu.

Glina schnie.
Żadnych planów na dzień następny.

INTYMNE OPOWIEŚCI LUDÓW PIERWOTNYCH

Artikulacja przez zaciśnięte gardło,
a i tak wszystko wiadomo:
ciągłość gatunku oraz ryty naskalne.

Następnie zwiększenie tempa,
wsie, miasta, sypialnie. Jawnogrzesznice we wszystkich
odcieniach makijażu i mężczyźni gaszący pragnienie.

Rewolucje, wyzwolenia, seksualność w publikacjach.
Na temat i ponad nim.
Niżej, wyżej demograficzne, ponadto inne
pułapki statystyki.

Jeszcze miłość, na szczęście
marginalnie.

ODRZUTY

We mnie jest
każdy wszechświat, każde zaprzeczenie.

Dzieciństwo, czas pośredni, śmierć
– wszystkie stany skupienia.
Prawdy, fałsze,
cały wachlarz istnień, czynów, zaniechań.

Niepotrzebne i najważniejsze
– słowa oraz milczenia.

SEKWENCJE

Uroczyste zstąpienia do piekieł,
z poklepywaniem po plecach
i rytuałem odliczania.
Sekund na drogę.

Ponadto wstąpienia, z tym samym
arsenałem, tylko odwrotnie.
Od podszewki.

Później, na zasadzie wolnych skojarzeń,
powroty. Tyle że już ciche,
z głową na piersiach.

Spokój i odpoczynek.
Farsa zejścia i wejścia.

PIOTR PRZYBYŁA
godło: „Kamieniołom”

II nagroda w dziedzinie poezji



PIOTR PRZYBYŁA – urodzony w 1985 r. Związany z Jeleniogórskim Klubem Literackim. Dostrzegany na ogólnopolskich konkursach literackich (m.in. im. Biereżina, Ratonia, Różewicza, Rilkego). Debiut dramatopisarski w Teatrze Powszechnym w Warszawie w 2013 r.

TWIERDZA

Tam, gdzie czaszki pięknie wygląda porzeczek.
Reszta jest milczeniem. Nawet krzyk brzemiennych
kobiet, gdy odbiera się im kamienie. Stawia pomniki.

Nadszedł zmierz. Łza drąży skałę. Klacz, która
zdechła, wciąż nazywa się Nadzieja. Umacnia
fundamenty. Ucieka przed brzegiem morza.

Nie wkładaj dłoni do jej pyska. Bądź cierpliwy.

ZWYCIĘSTWO

Puchar pełen piachu. Na głowie króla popiół.
Ci, co w relikwii, nie mają zębów. Mają ołtarz.

Ścieli im głowy zamiast włosów. To dobrze.
Jest mięso, które się już nie popsuje. Kadzidło.

Reszta to trucizna. Każdy liść łopianu, który
nie płonie żywym ogniem. Topola bez drzazgi.

Bierzcie i jedźcie z tego wszyscy. Mówi kamień.

TORTURY

Połknął swoje oczy, a szczury uciekły przez ranę w
sercu. Gotowe na tortury, jak pusta miska
na ciecierzycę. Gorycz w studni.

Skorupa, w którą wbija teraz igłę jest jak miasto.
Bunt to nie rękodzieło, a sierść bezdomnego psa
pozostawiona na plaży.

Brzuch wilka. Kamień węgielny.

POGORZELISKO

Przypalona skóra ma coś z mokrej trawy, gdy matki
cerują dziury w czaszkach swoich dzieci. To jaśmin –
mówią, a ich dłonie są jak źdźbła pożółkłe od szusy.

Woda przynosi martwe ryby. Zapałka mleko i miód.
Polny kamień to nie pępowina. Ciało obce, ale weź
im to opowiedz. Zabieram chleb powszedni. Dodaj.

ZIEMIA

Zakrwawione dzieci mają w gardle sierść
psa. Rasowego, co nie znosi kundli. To
grzech pierworodny, albo wina karmy.
Kto wie, skoro horyzont ukrył się za lasem.

Blizna to zdrada. Gwoździe jak paluszki
chwytają ranę. Sączą małą ojczyznę. Póki
możesz zabierz stąd kamienie, gdy chude
lata czają się w pokoju. Jak zęby w ustach.

Daj nam dzisiaj.

MARTA JURKOWSKA
godło: „mak”

III nagroda w dziedzinie poezji



MARTA JURKOWSKA – mieszka w Olkuszu. Z zawodu jest technikiem ekonomistą i technikiem informatykiem. Pisze od 2008 r.; jej wiersze były wielokrotnie czytane w „Poczcie poetyckiej” Macieja Szczawińskiego, w Radiu Katowice, były również publikowane w „Cegle”, „Akanicie”, „Frazie” i antologiach pokonkursowych. W roku 2011 ukazał się jej debiutancki tomik poetycki „Poza ramy”. Laureatka kilkudziesięciu konkursów poetyckich (m.in. Stanisława Horaka w Bytomiu, „Sprostac wierszem” w Chorzowie, Danusi Pawłowicz w Cieszynie, „O Srebrną Łuskę Pstrąga” w Redzie, Jana Kulki w Łomży).

SCHEDA

lęk, który przyszedł do mnie
w minucie poupychał godziny,
trawi moje podniebienie jak rdza trawi
starą wskazówkę języka.

mój dziadek nie umarł a zaledwie
odszedł, zabrał ze sobą królestwo
umazane błotem, berło wyrwane
twardej ziemi, szczerbatą koronę
i szlacheckie nazwisko.

jego tron poszedł w obce ręce;
na granice najechały chwasty
i dreczące muchy, duszą mnie od środka
jak czarny dym, jak ta garść popiołu.

RODOWÓD

kura znosi światło a ślepotą jest ucinana na pniu.
puste skorupki wrzuca się do jałowej ziemi
i nic już tutaj nie urośnie.

bezpłodne mężatki szukały swoich dzieci
na dnie jeziora, zostawiły na powierzchni obrączki.

w miejscu gdzie stygną ciężkie płyty grobów –
paruje, widać tylko mgliste obrzeża miasta,
martwe ulice, nieużytki,

tu wszystko sypie się solą
żeby kurz nie osiadał na stopach
i czysta płynęła krew

z ojca na syna.

PIEŚNI BŁAGALNE

mięso skwierczy i kurczy się do rozmiarów
zatoki. nakrywamy stoły, śpiewamy błagalne pieśni
ale milczy wiecznie głodne i głuche niebo.

będziemy głaskać węgorze ich skóra jak
surowy jedwab podetnie nam żyły
i wyleje światło, wyłowi mężczyznę
(w jego głosie pobrzmiewa wszystko, co przeszedł).

pij, pij powietrze i tańcz niech nasycą się
iskry oczu twoim tańcem, opowiadaj jak
upadały królestwa i podnosili się żebracy,

niech tańczy w nas kulawe życie
miażdżone innym czasem.

W POSZUKIWANIU WIARY

wiatr wymiata resztki obłoków,
szarpie sutanny, wrzody i szramy.

ktoś wyrwał mi z dziąsła
fragment wąskiej doliny,

karze mnie za grzechy
popelnione we śnie,

krzyczy zza krat konfesjonuła,
że od trzydziestu lat

buduje we mnie kościół
a ja wciąż nie potrafię odróżnić
dobrych od złych zamiarów.

w zimnym i pustym wnętrzu
(kolorowych witraży), pytam się świętych,
którym wywleczono duszę,

czy świat z rozbitym sumieniem
boli tak samo?

ZMIANA CZASU

zmiana czasu – zegar idzie
w drugą stronę, ubywa nam dni.

teraz musimy już biec
żeby zdążyć przed końcem.

na mojej orbicie – roboty drogowe,
splątane obwodnice, wąskie przejścia,

walec ugniata wielkie bryły miasta.
zrównanie nocy i dnia odbywa się na ogół

bezboleśnie, tylko czasem bolą mnie
krzyże, pulsują pod czaszką obrazy.

wiem, że jeszcze przyjdą czarne, chude
minuty, będą się rozpychać w czasie

wodzić mnie na pokuszenie, patrzeć
jak psy liżą kości, szarpią za krtąń.

w żyłach już kłębi się światło
przestrajam się na inny czas.

AGNIESZKA MAREK
godło: „Bezludna”

wyróżnienie w dziedzinie poezji



AGNIESZKA MAREK – bielszczanka, urodzona w 1977 r. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Śląskim i podyplomowo bibliotekoznawstwo. Pracuje jako nauczycielka języka polskiego. Laureatka ponad 40 ogólnopolskich konkursów poetyckich. Publikuje w „Migotaniach, przejaśnieniach”, „Bliźnie” oraz portalach poetyckich: Pisarze.pl, Śląska Strefa Gender, Salon Literacki, Latarnia Morska, także tomikach i almanachach pokonkursowych. Debiutancka książka poetycka „Wypuść mnie, wypuść” ukazała się w 2013 r.

ODKRYCIA

Najbardziej lubię niezaścieloną wyspę i zapach,
który kroplami wrasta w prześcieradło. Bez trudu
odnajduję w nim *jin* i *jang*, nasze skradanie na palcach,
później nagle decyzje. To jednak zaskakuje –
muszę być pogryziona do krwi, cięta na pół mocnymi,
gwałtownymi ucieczkami. Wtedy prawie nie boli to,
co próbowałam spłukać z siebie pod prysznicem. Ten czas,
kiedy znikasz gdzieś pomiędzy miastami, a GPS głupieje
pomimo natrętnych aktualizacji. Dlatego gdy topisz się
we mnie – wracamy. Wciąż oboje i znów nieosobni.
Zalogowani w sobie hasłami *chcę* i *jeszcze*.

LABIRYNTY

Ponoć mamy się nie bać tego, co nieznane,
co się nawet nie przyśni, bo noce za krótkie
na sny, jakim trudno zaufać, gdy trzeba
mocno zacisnąć zęby na stwardniałej prawdzie.
A jednak wciąż przychodzisz, jeśli zamknę oczy
i wciąż jeszcze się godzę na to, czego nigdy.
Sporcone obojczyki i rozgrzane łędwie,
kolana słodko zdarte, obolały język.
Do rąk świeżo zmęczonych wciskasz kłębek nici,
bym trafiła do ciebie, nawet gdy się skończy
sen, a w nim wreszcie będę niepodzielnie twoja
i może niepodwójna choć przez krótkie mgnienie.
Tylko czemu poranki budzą mnie szorstkością
i sznurkiem tak sparciałym, że zostaje w dłoniach?
Zupełnie kontrastowo do twoich zanikań.
Do snów, które wypada zapomnieć przed zmrokiem.

WY(ZE)ZNANIA

Byli tak dobrze wyrośnięci, wygrzani kilometrami
i nagłym, listopadowym słońcem. Miasto od dawna
czekało z rekwizytami (park, molo, przystań).
Nikt nie potrzebował wina, by usłyszeć szum.
Im dalej, tym więcej urywków – ta dziwna pewność
w jej oczach i odchylenie głowy zaraz po tym,
gdy zamknęła drzwi. Później twoje zdziwienia –
że taka krucha, ulotna. Obawy przed pęknięciami,
gdy roztopiała się w tobie i tężała na nowo
(żebyś mógł poczuć, jak wiele masz do stracenia).
Ale najbardziej żałujesz krzesła, które nie poznało
waszego ciężaru, falowania. Rzędu luster na ścianie –
bo nie ujrzały, więc jak niby uwierzyć?

Z POŁUDNIA W DRUGĄ STRONĘ

To jest stacja Łódź Kaliska, tuż przed północą. Zbyt głośno.
Opięte koszule na brzuchach wyliniałych maszynistów, zimne
jarzeniówki na peronie. Nic się nie zmieni. W myślach zostaną
puste zatoki, porty z nienaruszoną taflą. Wróci samodzielne
kupowanie kwiatów i zbliżenia w dniach, gdy nie krwawię.
Celowanie, jakieś konszachty z kalendarzem (nie mylić

z kalendarzykiem).

Takim kobietom się nie ufa, nie kupuje zegara do nowego domu.
Jest się ponad. Byle nie poczuć zapachu smyczy lub miski, byle
płynąć – pod prąd i jeszcze w górę ud. Najlepiej

– przypadkowych.

Zmieniać zwrotnice i tory. Może rdzewieć.

PRZEMIANY

*Być z tobą albo z tobą nie być –
oto jest miara mego czasu*
J.L.Borges, „Złoto tygrysów”

Nazywasz mnie kolekcjonerką smutnych rzeczy, czasami chwil.
Te czarne sukienki (zbyt cienkie, za krótkie), kolczyki,
które przeszkadzają ssąć płatki uszu. Momenty na skraju torów,

wieczne balansowanie. Każdy kolejny pociąg powoduje zmiany
(śnieg wiruje w popłochu, błyszczy, drażni). Srebro szyn kusi,
wszystko wydaje się zaskakująco proste i gładkie. W końcu

staję się Anną. Nabrudzę tu, nakrwawię.
Będą długo zmywać tory. Będą pamiętać.

RAFAŁ BARON

godło: „Metanoja o brzasku”

wyróżnienie w dziedzinie poezji



RAFAŁ BARON – urodzony w Gdańsku. Tam mieszka i pracuje. Tłumacz, wykładowca, krytyk muzyczny. Laureat konkursów poetyckich, (m.in. im. Baczyńskiego, Wojaczka, Rationia, Czerwonej Róży, Tyskiej Zimy Poetyckiej; nominowany dwukrotnie do nagrody głównej OKP im. Jacka Biereżina w 2009 i 2010 r.). Publikuje m. in. w „Autografie”, „Obrzeżach”, „Toposie”, „Frazie”, „Arteriach” i antologiach pokonkursowych. Autor dwóch tomów wierszy: „Listy do nienarodzonego dziecka” (2011) i „Film” (2013).

NEKRONOMIKON

Upał. Środek lipca jest w Ikarusie. Jego szyba działa jak soczewka.
Ściąga
wszystkie stare myśli, które przeleżały w ciszy piwnic
i składów. W chłodzie. W zniszczonych notesach, na starych
widokówkach
z podupadłych już kurortów, na żółtych, samoprzylepnych
karteluszkach
szeleszczących jak wyschnięte pancerzyki owadzich schronów.

Tam się chowały, tam żyły swoim spłowiłym zapomnieniem,
wegetowały w ciemnych zakamarkach znaczeń
jak złoczyńcy czyhający na zapóźnionych przechodniów.
Parzyły się i troiły poza wzrokiem, poza językiem

i teraz przychodzą ich bękarty ze zmienionymi rysami twarzy,
o piękniejszych kolorach, na wygładzonym tle, w przestawionych
kadrach, gotowe do spisania w nowej księdze. Ich ciepło upaja
jak bimber znanego i bezpiecznego pochodzenia.

Nie pozwalam im odejść. Nie grzebię ich. Jestem nimi.
Razem w tej księdze umarłych.

FALE

Uciekamy. Wokół tylko fale – chwilowa forma wody, która nie ma treści
oprócz resztek planktonu, brudnobiałej piany i plam oleju.
Nie mają wyraźnego początku ani końca, nie ma celu w ich pędzie,
nie muszą przekraczać żadnej drugiej strony, uciekają i giną puste
i obojętne – pomyślałem przechylając się przez barierkę
na pomoście promu.

Są zaburzeniem spokojnej toni, lecz czyż świat nie składa się
wyłącznie z zaburzeń? Z niedopasowania wszystkich rzeczy
widzialnych
i pulsujących pod językiem, w ślinie, pod paznokciami;
z dłoni naładowanych po brzegi, po palące końcówki palców,
z krzyku, który naznacza pokoje, ze scukrzonego oddechu
na wargach
smakowanych przez ex-kochanki, z ich wykrzywionych
twarzy wciąż mających na bladych ekranach komunikatorów.
Łagodzis to drżenie szeptem cichym jak głębia Landsort,

ale wszystko wraca do nas w zacienionej kajucie jak front
przyboju,
nakłada się na siebie i przez moment znów dopada nas spieniona
powódź
migawek, lecz czyż pamięć nie składa się wyłącznie z zaburzeń,
czy nie jest sporyszem powodującym złe sny? Na końcu fazy REM,
tuż pod ścianą odwracamy się twarzą do tego czegoś za plecami,
lecz widać jedynie dwie znajome postacie.

One też chcą dotknąć lustra. A potem znikają między plamami
oleju,
brudnobiałą pianą i resztami planktonu. Rankiem ostatni rzut oka
na ciemną toń i już wiem, choć widzę to niewyraźnie jak
zamglony brzeg
zbliżającego się portowego falochronu: Fale gonią same siebie.

Za pół godziny nie będzie innej treści
oprócz pordzewiałego wiaduktu, wjazdu na autostradę
i niknącej za nami plamy nadbrzeżnego miasta.

Za pół godziny pochłonie nas spokojna toń.

JĄDRO PAMIĘCI

Pamiętasz? Zmęczeni próbowaliśmy zasnąć w hotelowym pokoju, choć był wczesny wieczór. Hałas ulicy cichnął, słysząc było słabnący pomruk jakbyśmy zalegli we wnętrzu wielkiej ryby płynącej przez duszność portowej dzielnicy powleczonej solą. Wzrok powoli gasł usypiany smugami reklam na żaluzji powiek

i właśnie tam, za ich szczelną zasłoną uścisk pamięci na chwilę zelżał, na powrót było jasno i istnieliśmy w najmniejszym punkcie wszechświata przed wybuchem, w ciepłej wilgoci skóry, która nie ma wspomnień i nie pamięta niczego prócz szorstkości języka
bez słów.

Po wszystkim nastąpiła ciemność, którą nasze oczy chciwie wsysały niczym rozmarzające bagno. Staliśmy się nią koło czwartej nad ranem
(mówią, że wtedy następuje najwięcej zgonów) i myśleliśmy, że jest
kresem.

Lecz była ciemnią, w której wywołuje się filmy o dawno przebrzmiałych nazwach, wspomnieniach cudzych spojrzeń, o zimnym dotyku dłoni, którymi ciągle potrząsamy. O wciąż tropiących nas śladach.

Pamięć. Odzyskany czas.
Utracony raj.

SYMETRIA

Zasnąć, zsunąć się w siebie samych i zastygnąć, bo w samym
środku nas, na dnie
oceanu jest nieporuszony spokój, bezruch głębin, ukojenie
poniżej sztormów i gwałtownych fal, cisza, która tam, na zewnątrz
jest burzą,
niepokojem, świadomością, że na gwałtownych, jasno oświetlonych
ulicach
ktoś nas tropi chcąc nadać nam imiona, które przenikną
do naszych płuc
i naczyń.

Byśmy byli widzialni. Byśmy byli słyszalni. Byśmy mogli
powtarzać wielokrotnie:
Należymy do was, do świata, do pamięci.
Nie do siebie.

JĄDRO CISZY I CIEMNOŚCI

Lub uciekać. I tego łakniemy, bo gdyby nie było ucieczek do
obcych miast,
gwałtownych uderzeń adrenaliny jak uderzeń ciała o ślepą ścianę,
kluczenia
bocznymi ulicami, ustawicznych spojrzeń we wsteczne lusterko,
nie pragnęlibyśmy zaszyć się w jądrze ciszy, by ich zgubić, nie
pragnęlibyśmy zgasić
świateł samochodu, przemknąć niezauważeni hotelowym
korytarzem, a potem
gwałtownie i żarłocznie kawałek po kawałku wyrywać sobie
nawzajem siebie.
Należać do siebie w bładoczerwonych poświatach halogenowych
lamp.

Gdyby nie było ciemności tropiącej nas jak murena nad dnem,
nie odkrylibyśmy, że to ona jest źródłem cichej próżni, głębokiej,
podwodnej nocy
w hotelowym pokoju, podróżą bezpiecznym szlakiem przez
ocean,
przez samo jej jądro.

Zakleszczoną chwilą. Utraconym czasem. Zapomnieniem.
Odzyskanym rajem.

SPIS TREŚCI

Karol Maliszewski	–	<i>Od parytetu do metafizyki</i>	5
Monika Brągiel	–	godło: „Wielka pomyłka”	9
Marek Chorabik	–	godło: „Jazz Baba Riba”	17
Krzysztof Bąk	–	godło: „Pesto”	39
Leszek Carnuth	–	godło: „Park”	59
Jacek M. Hohensee	–	godło: „Esej”	83
Walery Sikora	–	godło: „Motyl”	107
Marcin Sztelak	–	godło: „Humanoid”	113
Piotr Przybyła	–	godło: „Kamieniółom”	121
Marta Jurkowska	–	godło: „mak”	129
Agnieszka Marek	–	godło: „Bezludna”	137
Rafał Baron	–	godło: „Metanoja o brzasku”	145



Sponsor „Krajobrazów Słowa” od 2004 roku



Firma wykonuje usługi w zakresie:

- wykonawstwa projektów elektrycznych, elektroenergetycznych i nadzorów,
- instalacji elektrycznych (nowe, modernizacje, remonty),
- linii elektroenergetycznych (kablowe, napowietrzne),
- rozdzielni elektrycznych,
- montażu maszyn i aparatów elektrycznych,
- pomiarów elektrycznych, instalacji odgromowych,
- linii i instalacji teletechnicznych,
- instalacji TV,
- instalacji logicznych (komputerowych),
- instalacji domofonowych,
- przecisków wykonywanych urządzeniem typu KRET,
- wszelkich prac budowlanych związanych z wykonywaniem prac w ww. punktach.



Sponsor „Krajobrazów Słowa” od 2000 roku



**MIEJSKIE WODOCIĄGI
i KANALIZACJA**

w Kędzierzynie-Koźlu
Spółka z o.o.

47-200 Kędzierzyn-Koźle ul. Filtrowa 14

**Miejskie Wodociągi i Kanalizacja
w Kędzierzynie-Koźlu Sp. z o.o.
47-200 Kędzierzyn-Koźle,
ul. Filtrowa 14**

tel. 77 480 13 00, fax 77 544 96 36

**e-mail: mwik@mwik.com.pl
www.mwik.com.pl**



Petrochemia-Blachownia S.A.

www.borsodchem-group.com

Petrochemia-Blachownia S.A.

Member of Wanhua - BorsodChem Group

ul. Szkolna 15

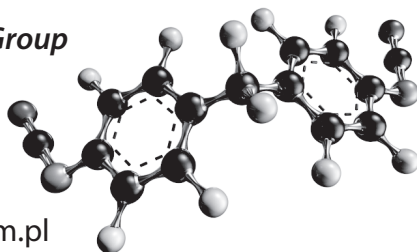
47-225 Kędzierzyn-Koźle

tel.: +48-77 488 68 01

fax: +48-77 488 67 21

petrochemiakk@petrochemia-bl.com.pl

www.borsodchem-pl.com



XXI
KONKURS
LITERACKI
2014



„W Kędzierzynie-Koźlu
zawsze jest ciekawie.
Jednak muszę wyznać,
że w tym roku było
wyjątkowo. Mnogość
światów, języków,
stylów. Przyjemnie
było jurorować,
a jeszcze przyjemniej
po prostu czytać”.

[ze wstępu]

